Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

Rok VIII

Warszawa, dn. 19. VIII. 1951 r.

Nr 33 (315)



JAN KOPROWSKI

BIAŁOSTOCCZYZNA

Piękna jest ziemia — Białostocczyzna.
Jakaś osada o nazwie Blizna.
Jeszcze dziś wiązy w niej i kasztany
liżą listkami wojenne rany.

Wioszczyna Boczki wśród pól i ścieżyn
gdzieś na uboczu, na stronie leży.
Złocą się w słońcu lipcowe pola,
trawa na łąkach bydłu do kolan.

Pamięć notuje. Oto Stawiska —
od nizin, krzaków, od rozlewiska
wód, które wieją w upały chłodem.
Pójdźmy nacieszyć oczy nad wodę.
Pójdźmy zobaczyć, jak rośnie co dzień
życie. Niedawno w Nowogrodzie
most przerzucono z brzegu na brzeg.

Pójdziemy mostem tym w nowy wiek,
w czasy przyjazne ludzkiemu szczęściu,
kiedy brat bratu nie będzie pięścią
wygrażał. Kiedy człowieka wróg
nie będzie palić i niszczyć mógł.

Piękna jest ziemia — Białostocczyzna.
Patrzę, jak tutaj nasza ojczyzna
rośnie. Myśl śpieszy naprzód i dąży,
gdy już w miasteczku, dziś małym — Łomży
powstaną jutro nowe budowle.
I ludzi tutaj sto tysięcy
zamieszka. Może nawet więcej.
Miasto zaszumi pracą i gwarem,
gwarem tym wzbierze rzeka Narew,
o brzeg uderzy, w zakręty, wiry...

Poeta przyjdzie — młodziutki liryk,
popatrzy wokół — na olchy, iwy
i wiersz powstanie — wiersz prawdziwy.

Piękna jest ziemia — Białostocczyzna.
Opisać ciebie, ziemio. Wyznać
tobie, że krzepisz serce, cieszysz.
Serce się niecierpliwi, śpieszy
do miast i siół, które nas wiodą
w przyszłość kraju — w jego młodość.

Cieszą nas ludzie, sprawy, dzieła.
W Białymstoku, nowiutki teatr,
domy, Medyczna Akademia,
od której ulgi życia i ziemia
doznają. Człowiek nie będzie cierpiał
w czas zim i lata — grudnia i sierpnia.

Mruga wesołe do nas światełko
w jakimś Grajewie, Sokółce, Ełku.
Ciągną się w górę rusztowań cielska
w jakimś Gołdapie, Olecku, Bielsku.
W ziemię żyzną, barwną — niepustą —
wpiął swe jeziora Augustów.
Nad ich brzegami, pośród sosen,
wygrzewa w słońcu nogi bose
człowiek, który po rocznej pracy
na wypoczynek przybył i wczasy

Patrzysz na ludzi i cię nie dziwi,
że jest tu jakiś mechanik z Gliwic,
górnik z Katowic, chłop spod Warszawy.

Słońce w jeziorze jak ptak się pławi,
pluszczą wiosła, chwieją się trzciny,
falą powietrza drga głos dziewczyny.

Spotykasz młodych chłopców z Albanii,
chodzą po lesie i nad brzegami,
Koreańczycy, Hindus, Bułgarzy
z sercem braterstwa pełnym i marzeń.

Wśród nich studenci z Wrocławia, Łodzi,
Krakowa, Gdańska.
W letniej pogodzie
wielojęzyczny gwar się mieni
na białostockiej, ojczystej ziemi.

JAN ALEKSANDER KRÓL

PO ŻNIWACH SKUP ZBOŻA

Żniwa prawie za nami. Żyto wszędzie już legło, kolej po nim na pszenicę ozimą, jęczmień, owies i pszenicę jarą. Ten drugi etap już się zaczął albo nawet się kończy, jak gdzie — północ, czy południe kraju, góry czy niziny, ciężka czy lekka gleba.

Ale wszędzie rozpoczęły się podorywki, omłoty i skup zboża.

Ekonomista powiedziałby, że w siódmych żniwach nowej Polski udało nam się połączyć już bezpośrednio *rolny cykl produkcyjny* z cyklem *towarowo - rynkowym.*

Polityk powiedziałby, że został w tym roku *zacieśniony sojusz robotniczo - chłopski.* Nie symboliczne będą tego lata dożynki. One już się zaczęły od krańca do krańca w całym kraju. Słyszycie, jak młócą maszyny? Słyszycie, jak turkotać zaczynają wozy, jak się sypie ziarno na punktach skupu? Chleb od wszystkich chłopów dla wszystkich robotników!

Jeszcze nie umilkły robotnicze pozdrowienia, słane chłopom na żniwa meldunkami z Częstochowy, Gorzowa, Miechowic, Wierzbicy, Piotrkowa, Andrychowa, Sieradza a już słychać jak na „wielkim placu budowy", wokół tysięcy kombinatów, gigantów, kopalni i fabryk wzniosła się fala chłopskiego odzewu — *nowe żniwa,* pierwsza w dziejach wsi zarzucona *transmisja od zbioru do zbytu, od chłopa do robotnika.*

Czy myślicie, że mechanicznie



można by doczepić omłoty i skup zboża do każdych żniw? Sto i sto pięćdziesiąt lat w kapitalizmie nie wystarczyło na taką racjonalizację, bo taka racjonalizacja na początku wymaga *rewolucji,* a następnie tworzenia się narodu socjalistycznego, narodu wolnego od mechanizmu wyzysku i wyzyskiwaczy, ojczyzny robotników i chłopów i ich inteligencji.

Kto się choć trochę zastanowił nad tegorocznymi bezpośrednimi omłotami i bezpośrednim skupem zboża, tego uderzy oczywisty fakt: *siła i dynamika żniw na wszystkich wsiach w Polsce.*

Kiedy Prezydent Bierut mówił do narodu w r. 1945:

„Nie macie innego chleba prócz tego, jaki własną pracą wydrzecie ziemi. Czynne będą tylko te fabryki, które sami uruchomicie Praca ciężka, ofiarna, wśród wyrzeczeń — to jedyne co mogła nam dać wyzwolona Ojczyzna" — inne były wówczas: treść, rozmiar, narzędzia i sposoby wydarcia ziemi ziarna.

Inne żniwa. Ciężkie jeszcze, pełne wyrzeczeń i ofiar. Kułackie konie, kułackie wyszabrowane motorki i maszyny brały jeszcze masowo w niewolę biedotę. Jeszcze pod firmą „ludowca" wielu kułakom udało się „urzędowo" przydzielić selekcyjne ziarno „dobrym gospodarzom". Jeszcze na niejedną Radę Narodową wnieśli oni żądanie oderwania robotników od fabryk, dźwiganych z ruin, na żniwa do „dobrych gospodarzy".

Jakże już inną była treść i sens żniw ostatniego roku Planu 3-letniego, kiedy Prezydent Bierut tak charakteryzował nowy etap:

„Wzrost sektora socjalistycznego w przemyśle, w handlu hurtowym i detalicznym, wzmocnienie planowo regulujących funkcji Państwa w stosunku do indywidualnej gospodarki chłopskiej, wzmocnienie sektora socjalistycznego w produkcji rolnej i początek ruchu spółdzielczości produkcyjnej na wsi — wszystkie te fakty świadczą dobitnie, że w okresie Planu Trzyletniego Polska w sposób trwały weszła na drogę budownictwa socjalistycznego i poczyniła znaczny krok na drodze budowania fundamentów socjalistycznego społeczeństwa".

Tegoroczne żniwa należą już do trzeciego etapu. Zrodził je rytm sześciolatki, okres, w którym ucieleśnia się w całym kraju, w każdym prowincjonalnym zakątku wizja, jaką już przed laty ukazywał Prezydent Bierut narodowi.

„Zbudujemy Polskę, w której nie będzie ciasnych i brudnych izb, nie będzie nędzy i niedostatku, nie będzie głodu. Zbudujemy tysiące jasnych szkół, w których młode pokolenie będzie się uczyło budować szczęśliwą przyszłość. Rozkwitnie w naszym kraju nauka, szeroko otwarta będzie brama do wiedzy dla wszystkich... To, co było dotąd krzepiącą ideą, staje się ciałem w twardych rękach polskiego robotnika, chłopa, inżyniera i nauczyciela".

✤

Na Święto Odrodzenia znaleźli nasi korespondenci chłopscy czas i ochotę w gorącej porze żniwnej, aby obejrzeć się na minione siedem lat i zsumować przemiany ilościowe, które, jak sami to podkreślają, nie wiedzieć kiedy nabrały już wagi *innej, nowej jakości.*

Nie wolno nam odrywać żadnego etapu pracy, żadnej wielkiej zbiorowej akcji od świadomości już narosłej historii, już wykutej przez „dwadzieścia pięć milionów Polaków, oddanych bezgranicznie Polsce Ludowej, Ojczyźnie naszej, krynicy naszych natchnień i czynów".

Tej lekcji udzielają nam korespondenci. Oni przypomnieli, że to nie tylko *siódme* żniwa, ale *w siódmym* roku, kiedy naród nasz staje się socjalistyczny i uświadamia sobie tę wielką przemianę.

Do jakiej to bowiem metody pobudził naszych korespondentów z różnych stron kraju ów siódmy rok a drugi sześciolatki? Do opisu, w którym główną metodę stanowi porównywanie lat przedwojennych z nowymi. Owszem, jest tu i chronologia i kronika, ale nad tym góruje coś znacznie ważniejszego: porównanie narodu w kapitalistycznej niewoli z narodem w socjalistycznej wolności i rozkwicie.

Oto Stanisławów Dolny w pobliżu Kalwarii Zebrzydowskiej. Ludności około 1500. Na 368 gospodarstw przed wojną do 3 ha było 313. Pięć szóstych gromady skrajna biedota. W dziejach tej wsi najmocniej zapisały się rozpaczliwe wędrówki za pracą, wyjazdy do Ameryki, Francji, Belgii i Niemiec.

Dziś wieś przemieniła się w osadę chłopsko - robotniczą. 290 osób pracuje w Andrychowie, Nowej Hucie, Krakowie i Kalwarii. Przed wojną było we wsi 45 koni i 7 młocarni na kierat. Te liczby mają wymowę. Bo wcale nie wyrażają wypadku odosobnionego. Wszak w tej kategorii gospodarstw do 2 ha — a było ich w Polsce 3.800.000 — ponad jedna trzecia posiadała przeciętnie na 100 gospodarstw... 13 wozów, 11 pługów, 11 bron zwykłych, ani jednej żniwiarki czy siewnika.

W Stanisławowie dziś do historii przechodzi lampa naftowa, żelazko na węgiel i młocka cepami. Zboże młóci „duchem" 12 motorów elektrycznych.

Przed wojną w tej wsi o półtora tysiącu ludności szkoła miała tylko 3 nauczycieli i program okrojony. Ale nawet dwie maturzystki pasły krowy.

Dziś nowa szkoła, posiada 7 nauczycieli, a wśród absolwentów liczy już sobie 12 nauczycieli i 8 studentów. Biblioteka zawiera 1200 książek, gazet na wsi 360. Wieś prawia teraz len, rzepak, konopie, czego tu dawniej nie znano, a plony zbożowych podniosły się z 10 na 16 q.

Oto wieś Rokiciny w pow. brzezińskim. Teraz u nas jak w mieście — mówi małorolny chłop Franciszek Gorup — Bo tak, przystanek kolejowy wybudowany, spółdzielnia gminna jak się patrzy, spęd na trzodę chlewną i rogaciznę jest. Średnia szkoła Spółdzielczo - Handlowa i druga — Rolnicza są, bursa także samo. Poczta nowiutka i Dom Ludowy nowy. Ośrodek Zdrowia jest, światło jest i kino stałe, SOM porządny, budujemy halę warsztatową dla szkoły zawodowej. No, nie miasto? Brakuje tylko *fabryki!*

Oto Potarzyca w poznańskim. Była to wieś poddworska, za „sąsiada" mająca hrabiego. Każda matka, kołysząc dziecko, wiedziała, że piastuje hrabiowskiego fornala albo najmitę sezonowego. Reforma rolna dała tej biedocie ziemię. I co potrafili pokazać w większości byli analfabeci? Wieś stała się w okolicy sławna ze swej gospodarki rolnej. Ma przodowników w hodowli bydła, w kontraktacji, w hodowli drobiu.

Pszenicy zbierają tam 20 q z hektara, buraka cukrowego ponad 300 q. Wieś kontraktuje 200 ha upraw, gdy przed wojną sadzono 5 ha buraka cukrowego. Dawniej hrabia chwalił się po okolicznych dworach uprawą 20 ha lnu, dziś chłopi bez większego rozgłosu mają lnu o 10 ha więcej, miesięcznie odstawiają 10 tysięcy litrów mleka. 25 chłopców i dziewcząt dojeżdża do Krotoszyna i Jarocina, do średnich szkół zawodowych. Na wsi 200 prenumeratorów i żadnego już analfabety. A choć z gospodarki swej wieś mogłaby czuć się najbardziej dumna, kiedy pytać, odpowiedź pada zawsze ta sama — najważniejsza to nasza szkoła! Nowa szkoła, gigant wiejski: „gabinet gospodarczo - historyczny", „gabinet fizyczno - chemiczny", „gabinet biologiczny". Taką to chcieli mieć dawni fornale i niewolnicy hrabiego nową szkołę i takiej się dorobili. Elektryczność już zakładają wzdłuż drogi, którą sami wybudowali.

Oto wioska Popów w łowickim. Nazywano ją „podkułaczną". Na sto dwadzieścia bowiem rodzin prawie sto dusiło się na karłowatych gospodarstwach przy braku koni, narzędzi i wyższej umiejętności uprawy. Ludzie ciskali się na wszystkie strony, aby znaleźć pracę dodatkową, choćby najbardziej dorywczą. O popowcach mówiono, że idą jak ryby w sieć. Zastawiał ją i sam Radziwiłł w Nieborowie i agenci, gdy budowano drogę z Warszawy do Łodzi, ale najgęściej i stale łowickie Boryny.

Cóż się dzieje teraz z Popowem? Część chłopów poszła na Ziemie Odzyskane. 70 osób opuściło wieś, pracując w zawodach pozarolniczych. (10 w Łodzi). 65 dorabia na kolei, poczcie, dojeżdża do fabryk łowickich (nowopowstałych). A co z rolnictwem? Bardzo się podniosło. Wieś uprawia obecnie 120 ha pszenicy (gdy przed wojną 40 ha), jęczmienia 24 ha (przed wojną — 15), lnu — 15 ha (przed wojną 4). A rzepak pojawił się dopiero teraz i od razu na 16 ha. Zbiory zbożowych podniosły się z przedwojennych 12 q z ha na 18 q. Trzody chlewnej i bydła sprzedaje Popów 240 sztuk, gdy przed wojną nigdy nie sprzedawał więcej jak 140. Maszyn rolniczych na całą wieś przed wojną było 7 (oczywiście u kułaków), teraz w samym SOM-ie znajduje się 55.

Nikt już nie młóci cepami ani nie sieje ręką. Pomoc sąsiedzka, z której we wsi korzysta 4 rodziny a w gminie 30, pozwala na wypożyczanie sprzężaju i maszyn bez wyzysku i odrobku u kułaka. Ze wsi 23 osoby uczęszcza do szkół średnich a 4 do szkół wyższych.

✤

Oto przepaść, jaka dzieli naszą wieś od przedwojennej. Oto *nowe,* jakie wyrosło powszechnie w ciągu siedmiu lat Polski Ludowej. Na takiej to wsi, jaką zarysowują z grubsza przytoczone przykłady, odbywały się tegoroczne żniwa. Dlatego tyle w nich dynamiki i rozmachu, dlatego siła, jaką chłopi rzucili w żniwa, wezbrała energią ponad zakres i zadania samych żniw. Można to było przewidzieć, należało to przewidzieć, i zostało to przewidziane planem — planem skupu zboża.



Pisaliśmy dwa miesiące temu o elementach nowej w naszym rolnictwie ofensywy *). Wymienialiśmy pięć głównych elementów: POM-y, PGR-y, spółdzielnie produkcyjne, Centralny Urząd Skupu i Kontraktacji oraz Rady Narodowe.

Na tych odcinkach nastąpiło utrwalenie zdobytych pozycji, przegrupowanie sił, zabezpieczenie rezerw i podciągnięcie tyłów, słowem — akcja, która nas przygotowała do nowej ofensywy, jaka wezbranej na wsi energii dała racjonalne ujście, jaka dźwignęła ją na nowy, wyższy etap walki o socjalistyczną organizację gospodarki rolnej.

Bo zważcie. Trzy troski główne, trzy zmory wisiały nad chłopem przed wojną, w sanacyjnym, kapitalistycznym ustroju.

Jedna — to los dzieci. Druga — to aktualny stan zbędnych rąk, przeludnienie gospodarstwa, względnie jego szczupłość, zagrażająca głodem i nędzą. I trzecia — mówiąc językiem ekonomistów — wykluczenie poza nawias rynku krajowego.

W obrazach wsi z siódmego roku Polski Ludowej zobaczył czytelnik, że śladu już nie ma po dwu pierwszych zmorach. Przyszłość młodzieży staje się dziś powszechnie źródłem radości i dumy w chłopskiej rodzinie. Dzieci czeka dobrobyt, awans i sława. Fakty w tym zakresie przeszły chłopskie wyobrażenia już na etapie kilku minionych lat. A żyje się przecież nie tylko tym, co jest, ale i tym, co będzie, co może być. Dlatego doliczmy wiarę i pewność chłopską w jutro ich dzieci. Doliczmy ją, jako energię mobilizującą do pracy i do wrastania w socjalizm.

Druga zmora — niknie na oczach. Wzrasta z roku na rok odpływ do prac pozarolniczych, co więcej, rosną ambicje na przeszeregowanie się do klasy robotniczej. Rośnie wiązanie się z pracą fabryczną na miejscu (z dochodzeniem, lub dojeżdżaniem). Czy wiecie, że Wierzchosławice, rodzinna wieś Witosa a nie mała — 1700 ludności — w 80 proc. jest wsią chłopsko - robotniczą? Chłopi dojeżdżają do fabryk w Tarnowie, Mościcach, Chorzowie. Niech nam to również przypomni, że 80 proc. gromady, słuchając przed la-

(Dokończenie na str. 2)

*) St. Cieślak — Elementy naszej ofensywy — „Wieś" Nr. 23.

SKUP ZBOŻA

ty filozofii o stanowej odrębności chłopskiej, głodowało na hektarze, na mordze.

I tu również fakty, a już ostatnio wyłaniający się „wielki plac budowy" w obecnym, drugim roku sześciolatki i ów milion ludzi, zakładających nową bazę dla produkcji — z nieodpartą siłą odrzucają resztki wątpliwości o jutro pracy, zarobku i dobrobytu. Bo ta perspektywa ukazuje możliwość nie samego tylko odludnienia wsi i nie byle jakiego ale pomyślnego, godnego pozazdroszczenia.

Zabicie tej zmory i pewność, że nie powróci, że przeciwnie jeden brat będzie chłopem, a dwóch robotnikami, toteż energia mobilizująca do pracy i do wrastania w socjalizm.

Uprzytomnijcie sobie, jak wyzwolenie od tych dwu trosk — a tak szczególnie widoczne już w drugim roku sześciolatki — mogło i musiało skoncentrować chłopów na produkcji rolnej i zrewolucjonizować w gospodarce. Nie myślimy tu wyłącznie o szczeblu najwyższym — spółdzielni produkcyjnej. Bo trzeba by być głuchym i ślepym aby mniemać, że budowanie fundamentów socjalizmu zmienia wieś w PGR-ach i spółdzielniach, a nie zmienia jej równocześnie *wszędzie.*

Rewolucja agrarna w masywie wsi indywidualnych jeszcze fermentuje podskórnie, jeszcze nie wyciaga pełnych wniosków i decyzji, ale już łamie stare normy i nawyki pracy, starą organizację rodzinną i patronacko - klasową, już ma legion przodowników, skoro wieś „złapała się" za nawozy, maszyny i kontraktację, skoro zwiększa wydajność i zbyt. A na tej linii stoją niezbite, milionowe fakty — liczby, rosnące wciąż liczby - wskaźniki produkcji.

✣

Jesteśmy tedy przy trzeciej zmorze, która była przed wojną przekleństwem chłopskiego urodzaju, a która w Polsce Ludowej została zmieciona z powierzchni życia społeczno - gospodarczego. To sprawa *rynku.* Kiedyś miał średniaku, a nawet ty, biedny chłopie nadwyżkę towarową, alboś musiał sprzedać, a broń Panie Boże sprzyjał ci urodzaj, zaczynała się dla was apokalipsa — skacząca i miażdżąca giełda rolna. Początek tej apokalipsy widać już było na wsi w osobach kułaków, sklepikarzy. wędrujących handlarzy zboża, bydła, nierogacizny i drobiu, potem na targowisku w miasteczku, dalej zmora mętniała, a przecież tam właśnie, dalej miała ona swoje utwierdzenie. Symbolizował ją dla całego narodu rząd, określał ją ustrój. dawał jej treść i formy kolonialnego rabunku rozpanoszony monopol imperialistyczny.

Utarło się powiedzenie, że chłop młóci od jesieni do późnej wiosny. Była to prawda, ale częściowa, bo ledwie żniwa przeszły, chłop już młócił, aby na gwałt zaspokoić „skup zboża", regulowany... giełdą kapitalistyczną.

W tych samych wsiach, ktoreśmy przykładowo ukazali czytelnikowi, wyglądało to tak: „Najgorszym czasem — wspomina korespondent — była dla chłopa pora po żniwach, bo zgłaszał się handlarz, który „był bardzo stratny", skoro w maju na przednówku, pożyczył 2 metry a teraz żądał 4. zjawiał się komornik, urzędnik gminny, kułak „za pomoc" w żniwach. nakaz płatniczy za pożyczkę kredytową, a tu trzeba było kupić dzieciom ubranie. buty na zimę, książki do szkoły, obsiać. wykarmić świnie i... żyć". Biedniak i średniak mieli zatem natychmiastowy „skup zboża". Godzina śmiertelna już wówczas wybijała. Zaczynało się konanie. Jesienią. wypuszczony metr żyta wartał — 8 zł. („o giełdo codzienna" w ręku kapitalistów!) na wiosnę — 15 zł. Chłopie biedny — tuś najbardziej plastycznie widział, jak cię dwukrotnie rabują, przy sprzedaży jesiennej i kupnie wiosennym, jak dybią na twoje zniszczenie i proletaryzację. Jak szydzą sobie z twojej pracy, jak czas w ich manipulacji cuda czyni z wartością twojego produktu, ale takie, że kiedy ta wartość spada, bije w ciebie, kiedy wzrasta, też bije. Byłeś zawsze zadłużony, a życie uczyło cię, że za pożyczone 500 zł. kupiona krowa (np. w r. 1931) już w dwa lata potem kosztowała 150, o tyle mniej płatne było mleko i mięso, a więc dochód z tej krowy.

„Uczeni" giełdziarze nazywali to „klęską urodzaju". Pisywali np. „Stan pól ziemniaczanych w Polsce każe się spodziewać w roku bieżącym rewelacyjnych zbiorów". Widać, że się cieszyli, ale cieszyli się dlatego, że „w przewidywaniu dobrych zbiorów ziemniaków ceny tego artykułu kształtują się na *niewidocznym dotychczas niskim poziomie*". A jak ich cieszyły „cykle świńskie"!

Stałe ubożenie klasy robotniczej, nękanej kryzysami i bezrobociem sprawiało, że kurczył się rynek wewnętrzny, spadały ceny rolnicze. W latach 31—37 wartość produkcji rolnej spadła o 40 proc. a chłopski zakup artykułów przemysłowych skurczył się o 50 proc., co oznaczało, że małorolny i w poważnej części średniak *zostali wyrzuceni poza nawias gospodarki narodowej i rynku krajowego.*

Wprowadziła z powrotem masy chłopskie na rynek narodowy w charakterze producenta i konsumenta dopiero Polska Ludowa, bo też ona tylko mogła to uczynić. Tylko rewolucja i droga do socja-

(Dokończenie ze str. 1)

lizmu. Ta droga budowana była i jest etapami.

Nacjonalizacja przemysłu obcięła pazury imperialistycznemu monopolowi, który rwał żywe ciało narodu, obaliła krajowy wielki kapitał przemysłowy i obszarniczy. Reforma rolna dała warsztat pracy i produkcji rezerwowej armii proletariatu wiejskiego, dalej oddłużenie mało i średniorolnych, dalej umocnienie klasowej polityki kredytowej, podatkowej i kontraktacyjnej — wszystkie te działania razem wprowadziły na rynek wiele milionów, nieaktywnych dotychczas gospodarczo chłopów, spychanych przed wojną do stanu gospodarki samowystarczalnej.

Ale rynkowi chłopskiego zbytu wiele jeszcze groziło z dawnej przeszłości. Przede wszystkim to, że był „wolny" t. zn. jeszcze w niewoli spekulacji, cyklów, wahań, inspirowanej paniki, wściekłej konkurencji kułaków i monopoli handlarzy.

Ale pamiętamy wielkie bitwy — o *planowy skup* ziemiopłodów i produktów hodowlanych — o *handel uspołeczniony* — o *stałe ceny.* Należą już one do historii naszych

że brzemię najcięższe, jakie z jego bark zdejmowała rewolucyjnie Polska Ludowa — uwalniając go od zagrożenia przed rabunkiem produktów jego pracy — że to brzemię już zdjęte, czy prawie zdjęte, jeszcze miało moc straszenia chłopa, właśnie przez to, że nikło, *mogło zniknąć.* Ze wycięta została gwałtownie dżungla „wolnej konkurencji" i chłop się zobaczył człowiekiem pracy na przeciw drugiego człowieka pracy, w fabryce. Jak to, nic ponad to? Nie ma już piekła na ziemi? Pół wychowania, pół umiejętności, połowa myśli i uczuć chytrych, a zarazem rozpaczy pełnych, nagle zawisły, jak podcięta gałąź.

Ale nasza powojenna rzeczywistość nie rozwijała się przecież tylko na tej osi. Nie stoi więc sprawa tak, że w opróżnioną nagle duszę chłopa wlewamy nowe życie. Sprawa stoi inaczej. Chłop szedł do nowego przez walkę, rozwijając się w sojuszu robotniczo - chłopskim pod władzą dyktatury proletariatu. Handlarską jego duszę atakowały najpierw i najmocniej opisane przez nas owe dwie wielkie radości na miejsce dawnych wielkich trosk: szczęśliwa przyszłość dzieci i pewność na dziś i na jutro pracy i do-



bogatych w nowe treści powojennych lat. Ich jednak zwycięskie osiągnięcia położyły fundament pod nową rolę rynku narodowego i pod nowy do niego stosunek mas chłopskich. I on ma oblicze socjalistyczne — sprawiedliwej, ustalonej, społecznej wymiany pomiędzy rolnictwem a przemysłem, pomiędzy chłopem a robotnikiem, w Polsce robotniczo-chłopskiej.

Raz na zawsze wyrwany został rynek z rąk kułaka, handlarza i spekulanta. Uchylone dawne, a stałe dla mało i średniorolnego zagrożenie Ustalona opłacalna cena produktów. Rozbity zatem i kruszący się z roku na rok kapitalistyczny system jarmarków i targów — tragedii chłopskiej. Mało bowiem, że się chłop napracował, ale odtąd trzeba było wejść na drugi etap zabiegów, aby móc sprzedać, aby zyskać, aby nie stracić.

Cały ten olbrzymi w czasie cykl rozłożony na odosobnione i rozdrobnione straszliwie gonitwy i transakcje, cykl gubiący chłopa w kalkulacji i obliczeniach, trzymający w napięciu i lęku przed stratą i w niepewności, czym zagrozi giełda w następnym miesiącu. kwartale i roku, cykl marnotrawiący czas, siły i rozgoryczający do samej pracy produkcyjnej — okazał się w nowych warunkach ustrojowych *bezsensem,* możliwym do zwalczenia, do racjonalnego zredukowania i zamienienia tej zmory na radosny, bo korzystny i sprawny, bo ryczałtowy zbyt zaplanowanych i zakontraktowanych upraw i hodowli.

✣

Pisał kiedyś Bojko o dwóch duszach chłopskich: pańszczyźnianej i obywatelskiej. „Obywatelska" w kapitalistycznym ustroju również uległa rozszczepieniu: na duszę człowieka pracy i na duszyczkę handlarską. I na plan pierwszy, zaiste, wystąpić musiała ta handlarska i spekulująca. U mało i średniorolnych wyrażała ona oszalałą z trwogi obronę ludzi, zagnanych w dżunglę „wolnej konkurencji".

Chłop przesmykiwał się w tej dżungli, pod pachą ściskając dorobek roku, kluczył jak ścigane zwierzę, chytrzył, zawsze jednak wystawiany do wiatru, zawsze upolowany przez kułaka, handlarza, komornika, licytację, przez wielkie burze kryzysów i szakali Lewiatana. I ta psychologia „dżungli", choć nienawidził jej, jak niczego bardziej, stała się jego drugą „naturą". Zaraziła biedniaka, zaraziła średniaka — ofiary tej dżungli — zaraziła konstytuującą samo pojęcie życia — wiarą, że orać na swojej ziemi to dopiero jedno, a spekulować tą ziemią, jej płodami i groszem z niej — to druga, rozstrzygająca konieczność.

Tak krótki w rzeczy samej proces jak — wymiana produktów — nabrał w kapitalizmie apokaliptycznych rozmiarów, przesłonił produkcję, uzależnił ją od żerowiska monopolu finansowego.

Trzeba wczuć się w tak skażoną psychologię chłopa aby zrozumieć,

brobytu dla zbędnych na roli. W tych procesach pogłębiał się związek chłopa z ziemią, jako warsztatem pracy. Im szerzej otwierał się dla niego rynek narodowy, im bardziej ustalał się jako uspołeczniony przełącznik produktów sojuszu robotniczo-chłopskiego, tym bardziej skupiał się chłop na pracy, tym silniej był porywany możliwościami nowatorstwa w produkcji, tym pewniejszy, że chodzenie około ziemi, ono tylko rozstrzyga o jego dochodach.

Polska Ludowa czyniła i czyni co tylko w jej mocy, aby przekonać chłopów, że wielkość naszej Ojczyzny, jej dobrobyt i znaczenie tkwi w entuzjazmie naszej pracy, w twórczym do niej stosunku. A przekonywała dając ziemię z reformy rolnej, klasowo rozkładając podatki, umarzając przedwojenne zadłużenia ,idąc z pomocą (przez produkcję klasy robotniczej, przez gigantyczny rozwój bazy) w nawozach, maszynach, kredytach, kontraktacji, społecznym handlu, stałych cenach, w zaciągu do szkół, zawodów, w elektryfikacji, spółdzielczości, rosnącym zaopatrywaniu w towary przemysłowe, w masowym upowszechnianiu kultury itd.

Jesteśmy dziś przecież, — jak to się mówi,— w epoce POM-ów. Na wsiach widać już, jak masowo rozwija się racjonalizatorstwo i przodownictwo w uprawie, hodowli i organizacji produkcji.

Wszystkie te razem przemiany na tyle podrosły, że w roku bieżącym można było zbyt chłopskiego zboża ustalić bezpośrednio na okres pożniwny, że można było nadać mu charakter rzeczywistej wymiany w sojuszu robotniczo-chłopskim. Doświadczenia przy skupie zboża w roku ubiegłym nauczyły nas wiele.

W gospodarce chłopa, jej wielkości, gatunku jej gleby, rodzaju upraw, zaawansowaniu w hodowli, w ilości sprzężaju i narzędzi, w liczebności rodziny i stanie zdrowia tkwi rzeczywista wysokość plonów i stopień jej towarowości. Od lat regulowana planowo gospodarka chłopska przez państwo, dała się ściśle w Centralnym Urzędzie Skupu i Kontraktacji obliczyć i nasunąć najbardziej sprawiedliwe normy, przy których dla wsi polskiej skup zboża staje się sprawą sprawiedliwej wymiany i zbytu, *dlatego sprawą pilną i krótką.* Nie ma już dżungli ani żerowiska, nie trzeba się lękać, zwlekać i kombinować, a nie wolno już spekulować i wyzyskiwać.

Na produkty wielkiej fabryki chleba od jednego do drugiego krańca kraju — czekają miasta, czeka klasa robotnicza „na wielkim placu budowy". A dla ludzi wielkiej fabryki chleba, z chwilą wyprodukowania stoi również sprawa interesu i honoru: oddać go do spożycia i kupić dzieciom buty, ubranie, książki, nawozy na siew jesienny i żyć z pełną pewnością na cały rok i z jeszcze większą na lata następne.

Jan Aleksander Król

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

DWIE WIOSKI

Od zamierzchłych zapewne czasów rywalizowały ze sobą dwie wioski: Góra i Zalesie. Rzecz zrozumiała, że ja tych zamierzchłych czasów nie pamiętam, ale tak starzy opowiadali. Przypominam sobie natomiast okres międzywojenny (byłem wtedy smarkaczem), gdy w Górze sołtys Michalak dostał na ten przykład nakaz malowania na biało parkanów i bielenia latryn.

Z Góry do Zalesia były dobre 3 km i pech chciał, że staremu Krzyżaniakowi, który listy rozwoził zepsuł się rower. Był w rozterce, czy zanieść jeszcze tego dnia nakaz także do Zalesia, czy nie. Po dłuższej jednak rozmowie ze swym urzędowym sumieniem zadecydował w sposób zgoła nieurzędowy:

— Nie będę 3 km. na piechotę dymał. Świat się nie zawali. Jeszcze mnie po drodze kto napatoli, torbę zabierze i państwowy dekret.

W ten sposób zalesiacy dowiedzieli się dopiero następnego dnia, w jaki sposób premier Sławoj-Składkowski chce się przyczynić do podniesienia warunków zdrowotnych i wyglądu estetycznego wsi. Wieczorem chłopcy pasący bydło w pobliżu Góry donieśli, że „tamtejsi" odkryli w sobie zdolności malarskie i wypróbowują je gwałtownie w miejscach przeważnie tylko rano uczęszczanych.

Karczmarz Chytek zaprzągł kasztanki i pojechał na zwiady. W niecałą godzinkę wrócił galopem i narobił takiego alarmu, jakby się kościół pod ziemię zapadł. Gospodarze zebrali się na prędce u Chytka. Trzeba wyjaśnić, że tak w Górze jak i w Zalesiu „gospodarz" mówiło się tylko na takiego, który miał 20 ha i 2 konie.

Otóż w czasie tej narady zabierał głos sam wachmistrz policji. Nie będę streszczał państwowo - twórczych wywodów ani jego, ani sołtysa Kluki, ani Chytka, który swoją orację zakończył okrzykiem: — „Stawiam kolejkę dla wszystkich!" Nie wiadomo czy w rezultacie tych przemówień, czy owej wspaniałomyślnośłnej kolejki, ale fakt, że zarekwirowano wapno, przeznaczone do remontu szkoły i wszystkie pędzle. jakie można było w Zalesiu znaleźć.

Długo w noc trzaskały drzwi od wychodków i psy ujadały, ale nim świt nadszedł Zalesie było podobne do Góry jak dwie krople wody. Kilka murowanych budynków gospodarzy oraz rozwalające się chałupki średniaków i sklecone z desek budki bezrolnych za wsią, na tym tle białe plamy pomalowanych wapnem obiektów.

Nie mogę nie wspomnieć, że z powodu tego malowania średniak Korab siedział trzy miesiące w areszcie. Przyszedł do niego wachmistrz z Kluką i pytają go.

— Gdzie masz ustęp?

— Nie mam — odpowiada.

— A gdzie chodzisz s...?

Korab wykonał ruch ręką, obejmujący pół horyzontu.

— Do jutra postawisz wychodek.

Korab na to: — Nie postawię.

Oczywiście — jawny opór władzy. Wachmistrz się wściekł.

— Nie postawisz bratku, nie? Zobaczymy. A powiedz, dlaczego nie postawisz, no?

— Bo nie mam desek.

— To kup!

— Za co? — Ale nawet gdybym miał nie stawiałbym wychodka, tylko naprawiłbym sobie dach. Ot — jak sprawa stoi.

— Ach to tak — odsapnął jadowicie granatowy. — Biorę was Kluska na świadka, na to coście tu usłyszeli. Powiada, że *zawsze będzie się sprzeciwiał władzy.* Sporządzimy protokół.

W parę dni później zabrali Koraba. Siedział 12 tygodni w śledztwie, potem go przez pomyłkę wypuścili. A ustępu nie postawił.

W Górze, niedaleko kościoła stała karczma. (Zresztą każda niemal karczma na wsi była przyczajona w pobliżu kościoła). W Zalesiu tak samo. „Gospodarze" szczycili się swymi „gościńcami", jak się w tych stronach nazywało alkoholowe przybytki.

Poza tym „gospodarze" bili parobków za lada przewinienie albo wyrzucali „na zbity łeb", średniacy robili długi i spędzali wieczory na kontemplacji, zastanawiając się co mają robić w razie nieurodzaju: sprzedać ziemię, spłacić długi i iść na służbę, czy też po prostu upić się i powiesić. Bezrolni nie mieli czasu na rozważania. Harowali od świtu do zmroku na bogaczy, a po powrocie do domu albo dzieci płodzili. albo dźwigali je w nieociosanej trumience sami, ażeby było taniej — na cmentarz.

*

Podczas wojny nie myślałem ani o Górze ani o Zalesiu choć wiele wspomnień mnie łączyło z tymi stronami. Skłonność do zapominania rzeczy przykrych jest podobno błogosławieństwem ludzkiego charakteru. Byłbym z pewnością w ogóle utopił owe czasy „w morzu zapomnienia" — ażeby się poetycko wyrazić — gdyby nie przypadek.

Kilka dni temu przeglądając gazety, między meldunkami z akcji żniwnej zauważyłem niedużą wzmiankę: „Gromada Góry wzywa gromadę Zalesie do współzawodnictwa w przedterminowym zakończeniu zbiorów". Góra — Zalesie? Nie uwierzycie. Nagła, niewytłumaczalna potrzeba... jak wilka do lasu porwała mnie do góry.

Gdy przejechaliśmy dębowy lasek zatrzymałem auto i wyszedłem na nieznaczne wzniesienie, skąd jak na dłoni widać było całą Górę. Często, jako chłopiec, siadałem na tym wzgórku, licząc kamienie na dachu Koraba...

Ale po Korabowym obejściu nie zostało ani śladu. Natomiast obok samotnej brzózki, która wyrastała kiedyś na wprost okna, prowadziła brukowana droga, a z obu stron nieco dalej czerwieniły się dachy dwudziestu domków. Dwudziestu, bo przeliczyłem. Kilkadziesiąt metrów dalej długie, przysadziste gospodarskie zabudowania. Ho, ho: to pewno stodoła, tamto chlewnie, a w tym budynku z cyfrą 1951 ułożoną z jasnych dachówek będą stajnie. Wszystko murowane; z desek była tylko szopa do maszyn, jak można sądzić z paru pługów stojących u rozwartych wrót. Dalej ku horyzontowi — potulne, jakby do ziemi przypadły w podstępnym oczekiwaniu, wznosiły się budynki „gospodarzy" (nazwałem ich teraz po imieniu: kułaków).

W osiedlu spółdzielni produkcyjnej Góra panował spokój; wszyscy, jeśli nie liczyć gromady dzieciarni i czyjejś głowy, która za nami wyjrzała, byli na żniwach. „Fiat" przesunął się uliczką; czułem jak serce mi waliło. Człowiek miewa czasem takie wzruszenia. Pojechaliśmy do wsi.

Na ścianie karczmy, przepraszam — świetlicy gromadzkiej, bo od roku mieściła się tu świetlica — widniał wielki afisz, donoszący o zebraniu wszystkich chłopów gromady właśnie tego dnia. „Narada poświęcona będzie skupowi zboża" — głosił napis. Ponieważ do wyznaczonej godziny było jeszcze sporo czasu, oczywiście jadę do Zalesia. Co w Górze to i w Zalesiu. Tak zawsze bywało. Spółdzielnia zatem „murowana".

Nie pomyliłem się. W Zalesiu też jest spółdzielnia produkcyjna i coś więcej — POM, którym kieruje dawny czeladnik kowalski Bosun. Przywitał nas zdziwionym spojrzeniem, unosząc na chwilę głowę znad naprawianej żniwiarki, ale tylko na chwilę. Opodal stał chłop, siwy zupełnie, trochę podobny do Zagłoby. Zagadnąłem go:

— Nie wiecie, co Chytek porabia?

—Pewno go diabli wzięli — odmruknął, patrząc na mnie podejrzliwie, jakbym był kompanem karczmarza.

— Nie żyje? — sądowałem ostrożnie.

— Kto go tam wie! Z bandami kumał, to go i zamknęli.

— A co z karczmą?

— Mamy tam spółdzielnię gminną.

„My mamy spółdzielnię" powiedział, a nie np. „tam jest spółdzielnia". Może to trochę śmieszne, żeby tak ludzi po słówkach sądzić, ale z reguły ile razy złapałem kułaka zawsze mawiał: „Oni założyli tam spółdzielnię". On się do „nich" nie zaliczał, on „ich" nienawidził i ta nienawiść wypełzała szparkami zmrużonych oczu.

Bosun wylazł spod żniwiarki i zaczął poganiać dwóch chłopaków w kombinezonach.

Wstąpiłem do świetlicy. Stół prezydialny obity czerwonym płótnem jak w tysiącach innych świetlic. Natomiast kwiaty, barwne kwiaty w ładnych wazonach — tego tak łatwo nie spotkasz. Podobnie firanek. Niby drobiazgi, a ileż sprawiają radości komuś, kto po latach nieobecności zwiedza rodzinne strony.

Ludzi było sporo, rozmawiali z ożywieniem, Coś jakby dalszy ciąg wczorajszego zebrania. Anim się obejrzał, a już mnie ciągnie przewodniczący Gminnej Rady Narodowej Kozubek, jeden z biedniaków, który nie brał przed wojną udziału w premierowskiej akcji zbierania ekstrementów. Ciągnie mnie więc Kozubek do gazetki ściennej i powiada:

— Patrz bracie, nasi ZMP-owcy namalowali, jak to kułacy z naszej okolicy wyobrażają sobie skup zboża. Kopią dranie podziemne magazyny.

— A których kułaków wolicie — swoich czy Górzaków?

— Tyś, Kamiński, jaką akademię skończył, że tak głupio gadasz? Nie ma naszych i nie naszych kułaków. Wszyscy są nie nasi.

Powiedział to Kaczmarek, znany we wsi radykał. Ten ci dopiero wojował z granatowymi. Miał dziesięć razy tyle mandatów i protokółów, kar i aresztów, co lat.

— Ja ci tu zrobię wykład o kułakach. Kułak to jest taki... *Skrzypniewski* — rozumiesz?

— Nie rozumiem, dlaczego Skrzypniewski?

— Słuchajcie ludzie, kto zeszłego roku pierwszy odstawił zboże. Ja czy nie ja?

— Ty — odkrzynęli zebrani.

— A kto musiał jeszcze 300 kg dorzucić?

— A no ty.

— A jeszcze 200?

— Tyż ty.

— Powiedzcie teraz Kamińskiemu czy ja jestem bogaty?

— Iii... na wychodek cię nie było przed wojną stać. Biedniak i tyle.

— Powiedzcie teraz, kto mnie tak urządził?

— Skrzypniewski, bo się wślizgnął do trojki zbożowej.

— Tak Kamiński, ten kułak to zrobił. My plan wykonali, a oni przetrzymali zboże i taki by nam jarmark na przednówku urządzili, że hej! Tyle, że uratowała nas pomoc państwowa, przynajmniej takich jak ja.

Nie odegrałem w walce klasowej na terenie mojej gromady specjalnej roli, nie uczestniczyłem nawet jako obserwator w zeszłorocznym skupie zboża. A jednak tego wieczoru stałem się centralną osobą dyskusji, o tyle przynajmniej, że zapaleni zalesiacy zwracali się stale do mnie. Oto Nowak:

— Wiesz, com się wstydu zeszłego roku przez kułaków najadł? Ziemię mam złą, licho do tego obrodziła, zachorowała żona. Furę pieniędzy wywiozłem do miasteczka. Planu nie wykonałem, ale czy się kto spytał dlaczego? Namalowali mi na płocie, żem kułak i złodziej! Nowak — złodziejem! Skrzypniewski se wykombinował, że będzie dobrze, jak średniaka i ludowca nazwą złodziejem, wapno rozdawał za darmo, a głupi zamiast jemu namalował mnie.

Wtrąca się Kozub.

— Wstydu to nie tylko wyście się najedli — Nowak, ale cała gromada. Górę w gazecie opisali, że przoduje, a my? Zalesie na dole zamiast na górze.

Chciałem w jakiś sposób sprowokować do wypowiedzi sekretarza podstawowej organizacji — Wątorka. Spytałem więc od niechcenia:

— To wy jeszcze konkurujecie z Górzakami?

Wątorka aż podrzuciło, ale się opanował i rzekł spokojnie:

— Ej, rację miał Kaczmarek, kiepską żeście akademię skończyli Kamiński. Najpierw się pyta, ktore kułaki lepsze, a teraz wyjechał z konkurencją. Współzawodnictwo jest — rozumiesz? Nas zeszłego roku ugryzła ta... afrykańska mucha... jak jej tam jest — tfu, tfu, czy jakoś, dość, żeśmy się pospali, to znaczy zatracili czujność klasową i kułaki przerzucili plan na Kaczmarków i Nowaków, z biedą wyciągnęliśmy 100 procent, a oni ziarno przetrzymali na przednowek. Górzacy byli czujni i dlatego słusznie ich pochwalili, a my się od nich musimy uczyć. Choć u nas taki Bosun też ma łeb!

— Ale tego roku wykonamy plan z większą nadwyżką niż oni. Ja wczoraj jakem przejrzał obliczenie sam se dodałem 300 kg więcej — wykrzyknął Nowak.

— I ja — oświadczył Kaczmarek — ino żeby się drugi Skrzypniewski znowu nie znalazł.

— Nie ma obawy — Wątorek powiedział to niezwykle poważnie. Na moment zapadła cisza.

— A ja dzisiaj deklaruję jeszcze 500 kg więcej.

Średniorolny Korab stał obok gazetki ściennej przysłuchując się rozmowie.

— Ty powinieneś, bo masz na tyle.

— Dlatego właśnie daję, że mam, tak jak ty.

Zapadł zmierzch. Zabłysły elektryczne światła. Dla ludzi z miast to oczywiście nic szczególnego, ale ktoś, kto do niedawna jeszcze wypatrywał oczy nad książką przy nikłym świetle lampki naftowej — wzruszy się na pewno.

Wsi moja sąsiedzka: głowy pochylone przy radiowych głośnikach, przedsenny szczebiot szczęśliwych dzieci, śmiechy dziewcząt skrytych gdzieś poza zasięgiem elektrycznej lampy, odległe dźwięki harmonii, błędne ogniki papierosów wypalanych przed domami... Góro, moja wsi rodzinna — zwarty kolektyw biedniacko - średniacki, czuwający przy żniwach, omłotach i skupie...

Wczoraj usłyszałem w dzienniku radiowym: na terenie naszego województwa przodują gromady Góra i Zalesie. Zobowiązały się one wykonać plan skupu do końca listopada, a więc na miesiąc przed terminem. Padkreślić należy, że gromady te, jako jedne z pierwszych zakończyły żniwa i siew poplonów...

Ireneusz Gwidon Kamiński



GAZETKA ŻNIWNA W GMINIE Niegłosy

Są u nas literaty!

Donoszę Obywatelom gminy, że spotkał nas cięższy zaszczyt. Przyjechały na żniwa aż dwa literaty. Jeden nazywa się Bolesław Wyrtalski i jest od przepisywania powieści. Drugi zwie się Janusz Warneńczyk i jest od układania sztuk na scenie.

Naprzód już apeluję do Obywateli! Kiedy spotkacie tych literatów, czyńcie co się da, aby nasza gmina przepisana została w literaturę! A starać się bardzo musimy, bo te literaty ponad normę są wymagalne Obu, jak wiecie, dostali nagrody i za nic nie chcą ich stracić. Najtrudniej będzie zadowolić Wyrtalskiego.

Umyślił se bowiem pisać O LUDZIACH ZA RZEKĄ. Jakże mu zrobić rzekę w gminie, kiedy jej nie ma? O stawach i strumykach nie chce słuchać. Moiściewy, na tym jeszcze nie koniec. Gadał, że w jego książce musi być „siekiera i kłonica w ręku kułaka i krew na czole bohatera - biedniaka". Co do tego, to apeluję — ani słowa. Jaż mu radziłem, żeby podpalanie i morderstwa przepisał na inną gminę, u nas kułacy wzięli dudy w miech.

A on swoje — ho, ho, jak pobędę to i u was wypatrzę.

Moi Kochani, jakby rzekę wypatrzył, szkody dla gminy nie będzie, ale z morderstwami to nie honor iść nam w historyję A poreszcie, to nieprawda.

Z drugim literatem, Warneńczykiem, będzie pono łatwiej. Zwierzał nam się, że krytyka naskoczyła go, bo w jego sztuce akcyję prowadzą kułacy i „Zwycięstwo" w tenże sposób psim swędem przychodzi biedniakom i średniakom. Powiedział do nas — „za mało wiem o prawdziwym twórcy nowych dziejów na wsi polskiej — o pracującym chłopstwie". Widzi mi się, że na tym Warneńczyku nasza gmina nie przegra. Apeluję przeto, abyście Obywatele zasług swych pod korcem nie chowali.

Niechże pisarze zapisują, jak się nasz naród przemienił i przemienia.

Dionizy Kopyść

Listy otwarte naszych gości pisarzy

Sławni w walce

Czytałem w redakcji „Gazetki Żniwnej" korespondencję Dionizego Kopyścia. I bardzo mi się spodobała. A wiecie dlaczego? Bo wyraża się w tej korespondencji mocne pragnienie chłopów, aby współczesna literatura polska ukazała Wasze nowe życie. Kopyść pisze również o tym, dlaczego rośnie takie pragnienie. Nowe życie jest zwycięskie i wciąż idzie ku lepszemu. Bo nowe życie należy do robotników i chłopów. Dlatego w literaturze nie będzie już chłopa-niewolnika, chłopa wyśmiewanego, ani chłopa, nad którym pisarz się lituje.

Ale tu Kopyść przesolił. Wierzę najmocniej, że Wasza gmina, godna jest sławy, ale Moi Drodzy, czyż zwycięstwa i osiągnięcia nie idą poprzez walkę? A Kopyść walkę, szczególnie w jej ostrzejszych i bardziej ukrytych formach, chciałby „przepisać" na inną gminę. A oto macie wydarzenie w Boguszycach! Mówi ono, że walczymy z wrogiem, że im więcej czujności, tym pełniejsze nasze zwycięstwa i sukcesy. Dlatego nie kryjmy walki i wroga!

Bolesław Wyrtalski

O patriotyzmie

Kiedy byłem w Czerniówku taką ucięliśmy sobie rozmowę ze średniakiem Marchwińskim. Pytam go:

— Złożyliście podpis pod Apelem?

— Cała wieś złożyła przecie.

— A Wy, dlaczego podpisaliście? Zabito Wam podczas wojny kogo w rodzinie? Ile osób?

— Nikogo mi w rodzinie nie zabili.

— Ale pewnie spalone gospodarstwo?

— Stoi po ojcach nietknięte.

— A może Wam córki albo synów wywieziono na roboty do Niemiec?

— Akurat nie.

— No to dlaczego podpisaliście?

A wiecie, co on mi na to? Powiada:

— Widzicie, że bez krzywdy osobistej jestem przeciw wojnie. Nic nie straciłem, a jeszcze mi po wojnie przybyło. I tak se myślę, że to, co mam ocalałe w ojczyźnie i to cośmy nowego wypracowali, tego trzeba bronić! Tego, co dla nas rośnie. O, popatrzcie na nasze pola i tu, na moje dzieci. To wam mówi średniak.

Janusz Warneńczyk

Chłopi!



Żniwa w naszej gminie już się zaczęły. Pamiętajcie, że patrzy na nasze NIEGŁOSY cały powiat, a jak nam dobrze pójdzie, to popatrzy także województwo.

Nie chwalący się, ziemię żeśmy dobrze zaprawili, siew był udany i teraz nam donoszą z Czerniówka, Krówki i Ryczywołu, że tam zbiorą po 17 metrów z hektara, co się znakuje na 2 metry więcej na hektar, jak latoś. A w Baniewie, Zabinku, Suchodole, Celigowie już zbierają po 18 i 19 metrów.

O naszym PGR-ze w Grdyni Wielkiej to i nawet nie wspominam, sami dobrze wiecie, jakie tam pyszne żyto i pszenica. Takie samo w spółdzielni w Żabinku i Boguszycach.

Przygotowanie do żniw ogółem biorąc udało nam się na gminie. Komitety żniwne poumawiały maszyny i pomoc sąsiedzką, jak się patrzy. Ale jakby co nie klapowało — jeszcze naskoczymy. Dlatego proszę dawać wiadomości. Od tego jest Rada Narodowa, Partia i Komitety abyśmy żniwa mogli wszę-



dzie i u wszystkich duchem odbyć. Gdzie się da już na polach omłoty przeprowadzić, zarutko też podorywki i na skupie zboża pokazać się pirsi w powiecie! Tako niech będzie nasza wszędzie taktyka, uważać dlatego na wroga, aby na naszym stanęło.

Wasz agronom gminny
chłop miejscowy
Franciszek Pomykało

O skupie zboża WĘZŁOWATO

POTRZEBUJEMY zboże sprzedać? Potrzebujemy! Prędko? Choćby, jak najprędzej! Ile? Tyle, co mamy **towarowego**. Bo my potrzebujemy także na rodzinę i dla bydła i świń.

Pokręcił nam zeszłoroczny skup trochę w głowie? Pokręcił. A dlaczego? Bo weźmy na ten przykład sołtysa z naszej gminnej wsi **Niegłosy.** Sołtys, i pod samą Radą Gminną, ma tyż tylko 3 ha, a wlepili mu 10 m. żyta, 10 jęczmienia i 3 pszenicy. Skąd tak? Nieobliczone było



dokumetnie, ino na ślepo. Dejcie sołtysie przykład. Dał przykład i dokupował później na potrzeby domu i chlewa. Takie wypadki zdarzały się. A resztę robiła plotka.

Czego chciała plotka, a czego my i Rząd Ludowy ?

Plotka chciała wbić klin w nasze zaufanie do Rządu i sprawiedliwości.

A czego my chcemy? Sprzedać **towarowe** zboże, jak najprędzej, opłacalnie, i jednakowo.

Czego chce państwo? Kupić nasze **towarowe** zboże, jak najprędzej, opłacalnie dla nas i jednakowo. Cena jest stała i opłacalna? Jest! Rozpatrzono błędy ubiegłego skupu? Rozpatrzono i z taką matematyką, że teraz każdemu liczy się tylko towarowe i to ino część na skup. Jeśli sam dasz więcej, bierzesz premię.

Komu dajemy chleb? Robotnikowi! To trzeba nam rynku handlarskiego, targowania się, spekulowania i przewlekania? Nie!

Grożą nam obszarnicy, kułacy, handlarze? Nie! grozi nam giełda burżujów w kraju albo z zagranicy? Nie! A dlaczego? Bo robotnicy są u władzy, a my z nimi w sojuszu robotniczo-chłopskim.

Jak nam nic nie grozi, to przestańcie wreszcie chłopy myśleć o rynku po przedwojennemu. Już się przecież nie martwisz, że nie sprzedasz, już nie straszy cię urodzaj, już nie boisz się strat, spadku cen i wyzysku.

Rynek teraz jest społeczny, robotniczo-chłopski. A na takim rynku prosta sprawa: **krótko i szybko!** Tak samo, jak na budowach kombinatów, jak na naszych żniwach tegorocznych.

Z tego taka korzyść, że omłoty przyśpieszymy, zboże zaraz sprzedamy, a zimą będziemy mieli wolny czas na świetlicę i książki.

Wasza od trzech miesięcy
Przewodnicząca Narodowej
Rady Gminnej
Józefa Koszewska

Czujność wobec wroga!

Czy wiecie, co się zdarzyło w Boguszycach? Ale poczekajcie, po kolei. My tu w sąsiedztwie gminy Wiry zawsze mamy najwięcej kłopotów. PSL-owskie gniazda kuałckie wciąż mącą wodę. W tym roku przeciw POM-owi. Bo zważcie, u nas, prawie na granicy gminy spółdzielnia produkcyjna, a u nich POM w Karczycach. Dostali się w obcęgi Myśmy w spółdzielni przygotowali się do pierwszego plonu skrupulatnie. Umowa z POM-em została zawarta na dwie snopowiązałki, wyremontawaliśmy własną żniwiarkę i obiecali pomóc wsi, A tu nas dochodzą plotki, „aby nie zawierać umów z SOM-ami i POM-em, bo maszyny i tak na wieś nie nadejdą, a obiecują dla propagandy". Poszliśmy na wieś i robimy zebranie, jedno, drugie, trzecie. Ludzie wytrwali w oczekiwaniu. Snopowiązałki nadeszły, młodzi traktorzyści, a wśród nich nasza sławna Stasia Marciniak, pracowali bez przerwy już trzy dni, jeszcze dzień, może dwa i byśmy przerzucili je na wieś. I właśnie trzeciego dnia w nocy przyjeżdżają do nas motocyklem dyrektor POM tow. Przybylski i dyspozytor Leduchowski.

— Gdzie traktory — pytają — prowadźcie! Prowadzimy. — Gdzie u was opony poprzestrzelane? Gdzie zgruchotane snopowiązałki?— zaryczał tow. Przybylski. Zbaranieliśmy.

Co się okazało? Przed godziną otrzymał w Karczycach tow. Przybylski taki telefon: — Halo, tu Boguszyce! Towarzyszu... był napad... snopowiązałki rozbite... oba traktory mają przestrzelone opony, zboże nam sypie. Jeśli jutro nie skończymy sprzętu żyta straty dojdą do 35 proc. Przysyłajcie maszyny.

Co robi tow. Przybylski? — Leduchowski. ile mamy w zapasie?

— Nic. Ostatnie dwie maszyny po remoncie idą do Grzymkowic w gminie Wiry na umowę z chłopami indywidualnymi.

— Dobrze, przekażemy je Boguszycom ale... najpierw my do Boguszyc! Wrócimy na 2 w nocy, będzie jeszcze czas. A... cudów nie lubię.

Oczywiście, traktory poszły, jak



miały pójść, do Grzymkowic. I tam od razu dowiedziano się, że kułak Grazda obnosił przed wieczorem wiadomość, że POM odmówił Grzymkowicom, bo tutaj przecież chłopi gospodarzą indywidualnie. „Zobaczycie — przekonywał chłopów — że oni wolą zwalić kołchozowi na kupę cztery snopowiązałki, niż dać biednemu chłopu u nas".

Oto, jaka strategia kułacka: z naszymi Boguszycami czuli, że nie dadzą rady, bo u siebie w Wirach chcieli utrzymać panowanie. Przy braku spółdzielni na gminie myśleli, że uda im się zrazić chłopów do POM-u. No i wyszła kryminalna robota.

A my święcimy zwycięstwo czujności, porządku i prawdy.

Szymon Wątorek

LEON BUDZOWSKI

RAZ SIĘ W SKUPIE ZBOŻE ZBYWA

Ogłoszono nam zebranie,
Już gromada idzie na nie.
Idzie kułak, idzie średniak,
Idzie plotkarz no i biedniak.

Przed zebraniem już narada.
Przed zebraniem rada, rada.
Radzi kułak, radzi średniak,
Radzi plotkarz, no i biedniak.

Kułak szepce: wy, psiajuchy,
Czy wy kumy już ogłuchły?
Czy wy jeich nie słyszycie,
O tym skupie, o tym zbycie?

Czy nie wiecie jak to bywa:
Kto na wierzchu ten się kiwa.
Oni tak was wykiwają
Bo sposoby na to mają.

Ja wam radzę z całej duszy
Na zebraniu zamknąć uszy,
Zamknąć usta ani słowa
Bo was spotka bieda nowa.

Już plotkarka rudowłosa
Szepce spod długiego nosa:
Zawracajcie do dom wszystko,
Niech zebranie świeci pustką.

Gdy zebranie otworzono,
Jednogłośnie uchwalono:
Wspólnie skup zbóż przeprowadzić,
Wyzyskowi kres położyć.

Na kułaków, na paskarzy
Niech się więcej to nie zdarzy!
Tak harcować rok za rokiem,
To nam już wyłazi bokiem.

Dziś pójdziemy drogą prostą,
Postawimy sprawę ostro.
My dziś górą, tak dziś bywa:
Raz się w skupie zboże zbywa.

Niech paskarska, sklepikarska
Przeszłość się odwróci,
Gdy chłop dług swój gospodarski
Robotnikom zwróci.

WIADOMOŚCI Z CELIGOWA jedna ważna

Kosa na kamień

Broń mnie Boże, żebym miał obrażać całą gminę. SOM w Celigowie obsługuje tylko południową część naszej gminy i moja krytyka też dalej nie wyjdzie. Wyremontowaliśmy wszystkie maszyny, zapasowych części, jak: grabie, zęby, mutry i śruby, narobiliśmy sporo i zwołujemy Mężów Zaufania, którzy stoją na czele Komitetu Żniwnego każdej gromady.

Kiedy się zebrali, my do nich — bierzcie dla każdej wsi po żniwiarce i inne maszyny wedle potrzeb i braków. A oni na to — weźmiemy przed czasem pod opiekę, a potem powicie, żeśmy nie dopilnowali, jak jedna z drugą nie ruszy, co? A bo to my wimy, czy są narychtowane?

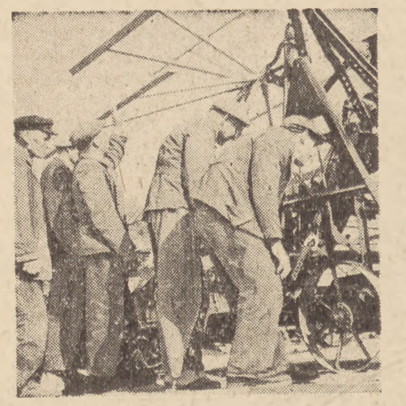
Aleśmy języka w gębie nie zgubili. — Czekajcie Męże Zaufania — mówimy — jest w polu dojrzały już jęczmień ozimy i rzepak?

— Jest.

— No, to chodźcie w pole, zobaczymy, co powiecie o maszynach?

I myślicie, że zamknęli gęby? Gdzie tam. Jeden zaraz się odzywa. — Teraz owszem, chodzą, a jak w robocie się zepsują? My nie możemy stracić zaufania komitetu i gromady. Dajcie nam ludzi do naprawy!

Niech ich kule biją. Uradziliśmy podzielić nasz teren na trzy rejony. Jeden pod opieką przewodniczącego SOM-u — Góralskiego,



drugi i trzeci — naszych kowali. Kowal Marciniak rzekł im na odjezdnym. — Handlarze z was niezłe. Ale nie rachujcie, że razem z panami z komitetów pierwsi wytargujecie żniwiarkę na swoje pola.

— Jak śmiecie tak mówić do Mężów Zaufania!?

— A bo to my wiemy czyście dobrze narychtowani — odparł kowal — albo czy się nie popsujecie? Jak sprawdzimy i dopilnujemy, to się pokaże.

— Ano, jak padła kosa na kamień, to przekonacie się!

P. S. W następnej korespondencji opiszę, jak się wywiązały ze swych zadań Komitety Żniwne.

Adam Pocieszny



„Wesoły jarmark"

Starzy i młodzi! W dzień żniwa, wieczorem do kina w Niegłosach. Jest radziecki film pt.: „Wesoły jarmark". Pokazuje, jak kołchoźnicy zjeżdżają się w miasteczku po żniwach. Przywożą swój plon na sprzedaż i kupują czego dusza zapragnie. Będzie na co popatrzeć. Oczy wam z zachwytu wylezą, bo film kolorowy, a plony takie, że mlaskać tylko językiem. A wesołości ile, a honoru gromad, a miłości...

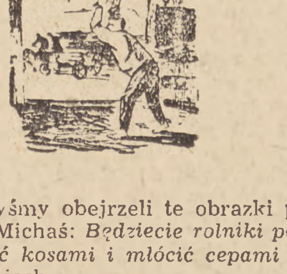
St. C.

Motory dla młocarni!

Dla Rady Narodowej zaznaczam z góry, że najważniejsze w tym liście jest na końcu. Ale zacząć muszę od początku. Przyjechał do Celigowa Michaś St., znany u nas kułak z fantazją. Konie przed gospodą zawsze karmi herbatnikami. Tym razem w gospodzie pytał nas z głupia frant:

„Jesteście polskimi rolnikami? Jeśli jesteście — to patrzcie!" Pokazał nam kalendarz „Rolnika Polskiego" z r. 1948, a w nim obrazki na sierpień i wrzesień. Załączam je do mojego listu.





Kiedyśmy obejrzeli te obrazki powiada Michaś: *Będziecie rolniki polskie żąć kosami i młócić cepami* — i w śmiech.

Kochana Rado Narodowa! Co do kos, to się Michasiowi nie udało. SOM celigowski obsłuży cały nasz rejon. Ale co do młocki, to może by się i śmiali z nas kułacy, gdyby nie ta ich bezczelność. Czekaj no — myślę — masz ty Michasiu „fantazję", która nam dodaje bodźca w walce klasowej. Jest w SOM-ie 5 młocarni, ale tylko jeden motor. I dlatego się z nas śmiejesz?

Kochana Rado Narodowa! Zbadałem sprawę i donoszę, że w naszym rejonie kułacy mają aż 11 motorków. Trudno jest nam dogadać się z nimi. Póki czas, spowoduj Rado, aby kupnem, czy wynajmem wszystkie młocarnie miały zapewnione motory!

Jacenty Gwóźdź

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Gminna Rada Narodowa powiadamia:

1) W Celigowskim rejonie młocarnie POM-u będą miały motorki do omłotu. Murowane!

2) Do Baniewa już pojechał sekretarz Partii. 3 młocarnie i 8 żniwiarek tamtejszych powinny wspomóc sąsiednią Czerniówkę.

3) Adamczyk w Pichlicach nie będzie więcej hamował wydobywania torfu i jego sprzedaży.

4) Piekarnia w Srocku nie obsługuje północnego rejonu naszej gminy. Pracownicy pojechali na urlopy. Są dwie zmiany a potrzeba 3.

Dziadek Kupała z Czerniówka i Cieplik oraz Cieślak z Ryczywołu zgłosili się dobrowolnie na trzecią zmianę. Niech żyją nasi starzy!

Jeśliby jakiś czytelnik nie uwierzył (a zawsze znajdą się tacy) w autentyczność Gazetki Żniwnej z gm. Niegłosy — oświadczam, że wszystkie wiadomości i wydarzenia, podane w tej gazetce miały miejsce w rzeczywistości.

Piotr Chmura

Rozmaitości

Ryż, buraki i zboże

Na PGR-ze w Grydni Wielkiej nie wiadomo czego bardziej potrzeba: deszczu czy pogody, a to z powodu ryżu, który tam nad podziw hodują.

Z burakami też groził kłopot, bo w lipcu trzeba je pielić, a także żąć już zboże. Na hektar buraków wypadałoby 16 — 20 kobiet dziennie. Skąd brać tyle ludzi? I co powiecie. W Grydni przejechał się maszynowy opielacz, co opiela, spulchnia i obsypuje 7 ha dziennie. PGR Grydnia kazał wam się kłaniać, zaprasza na dożynki.

J. P.

Buraki i torf

Kawęczyn u nas słynie z buraków, a Pichlice z torfu. Ale w Kawęczynie buraki są a w Pichlicach torfu nie ma. Dlaczego? Bo w Kawęczynie wszyscy chłopi plantują buraki, u ich przodownika Skorczyka Franka pole buraczane jak ogród warzywny. Kawęczanie chcą dogonić swoich konkurentów z powiatu gorzowskiego. A tu Bednarczyk zapomniał po przerywce okrążki, a Kubiński nawet o przerywce. I choć to niedbalstwo na własnej ich plantacji, ale im na zebraniu zmyli głowę. To się nazywa organizacja.

A w Pichlicach rej wodzi Adamczyk i tak torfem kręci, że trzeba mu porządnie w gardło nalać wódki, zanim się dostanie pół pręta do kopania. Że Kawęczyn wie, co się dzieje nawet w powiecie gorzowskim, to bardzo dobrze, ale, że Rada Gminna nie wie co się dzieje w Pichlicach to bardzo źle. Żniwny zawrót głowy?

W. K.

Stasia Marciniak

Koleżanki i Koledzy! Stasia Marciniak znów jest w naszej gminie. Orze w spółdzielni w Boguszycach. Wiosną osiągnęła 3,5 ha dziennie na traktorze, teraz już 4,5 ha. Wiosną, jak pamiętacie, miała 148 proc. normy. Zobaczymy, ile teraz? Już kawał NOWEGO świata poznała dziewczyna — 16 spółdzielni!

A matka przed dwoma laty za nic nie chciała jej puścić na kurs traktorzystów. Kiedy uciekła, a ludzie zaczęli cuda matce opowiadać o zdolnościach córki, a Stasia nadsyłać pieniądze i upominki, stara Marciniakowa od roku mawia każdemu: CO MASZYNA, TO MASZYNA! JA ZAWDY STASIĘ NAMAWIAŁAM, ŻEBY SIĘ NA MECHANIKA WYBIERAŁA...

Ciekawi pewnie jesteście, czy jak teraz powiemy Marciniakowej, że Stasia zamierza spółdzielnię we wsi zakładać — czy stara wdowa również przytaknie?

— CO SPÓŁDZIELNIA, TO NIE WIEŚ. ZAWDY STASIĘ NAMAWIAŁAM...

Myślę, że przytaknie.

I. K.

Dość lipy

Zetempowcy z Baniewa wysłali do Rady Gminnej list, a odpowiedzi jak nie ma, tak nie ma. Widać Prezydium nie chce psuć sobie humoru po protokóle zobowiązania, jaki otrzymała od naszego gromadzkiego Komitetu Żniwnego w Baniewie. Pewnie, że jak panowie radni przeczytali: „ŻNIWA SKRÓCIMY Z 20 NA 15 DNI I WYKONAMY JE WŁASNYMI SIŁAMI" — to zawołali chórem: baba z wozu koniom lżej .

A tu nadchodzi nasz list. A kuku? Cisza. A kuku?

Dość tej ciszy. Już cztery dni żniemy w naszej wiosce i widać, że skończyć by można w ośmiu dniach. Ludzie! Przecież u nas są 3 SNOPOWIĄZAŁKI I 6 ŻNIWIAREK! Myśmy się powinni zobowiązać do dużej pomocy w sąsiednim Czerniówku.

Ale, maszyny są prywatne... ale trzy snopowiązałki pochodzą z omszałego już szabru, a pewnie i ze dwie żniwiarki, więc nie podjęliśmy pomocy sąsiedzkiej dla drugiej wsi, aby... nie wywoływać wilka z lasu?

Kochana Rado — A KUKU?

Nasz Komitecie Żniwny — DOŚĆ LIPY!

J. C.

Buchalterzy

W spółdzielni produkcyjnej w Żabinku buchaltera. Stanisława Merdę zobaczycie... na polu, przy snopowiązałce.

— No toście już nie buchalter — orzekł pisarz Janusz Warneńczyk, kiedy mu się Merda przedstawił.

— A niechże Pana, każdemu obcemu muszę się tłumaczyć. Zobowiązanie podjąłem: wyprowadzić książki na bieżąco i całe żniwa obsługiwać ten wiatrak, a pan mi mówisz, żem nie buchalter Aha, jak pana znów przyniesie na omłoty to mnie zobaczysz woziwodą. Woda do kotła, co trochę potrzebna, ona panie, pędzi wielki pas, łączący kocioł z młocarnią, a ja będę woził, to moje drugie zobowiązanie!

A w PGR-ze, Grydni Wielkiej, buchalter Mączka z biura nie wychodzi. Zapisuje! Dwa stogi żyta, 9 ton pszenicy w spichrzu. Szlak jęczmienia położony, owies jutro gotowy do zwózki...

T. P.



MARIA JANION

RODOWODY ZDRADY NARODOWEJ

Jedną z najprzyjemniejszych funkcji recenzenta jest odnotowywanie w rubryce krytyczno - literackiej stałego rozwoju — ideowego i artystycznego — dużego talentu pisarskiego. Z takim właśnie zjawiskiem mamy do czynienia przy ocenie nowej książki Stanisława Zielińskiego — pierwszej części powieści zatytułowanej „Ostatnie ognie" *). Opublikowane przed półtora rokiem dwa tomy „Opowiadań żołnierskich" Zielińskiego — „Przed świtem" i „Dno miski" — przyjęte zostały zgodnie przez krytykę jako t.zw. „dobra zapowiedź". Wytknięto surowo autorowi poważne błędy ideologiczne (te najdobitniej określił R. Matuszewski w „Twórczości": *„Obiektywną genezą artystycznych braków w opowiadaniach Zielińskiego jest w ogóle brak klasowego spojrzenia na przedstawianą rzeczywistość, nieumiejętność dostrzeżenia i artystycznego uwydatnienia antagonistycznych cech klasowych i oblicza walki klasowej w świecie, który opisuje")* i artystyczne (sprecyzowane w analizie L. Flaszena we „Wsi": ograniczoność narracji w pierwszej osobie, deformująca groteska, niekiedy naturalistyczny dokumentaryzm). Oczywiste było jednak, że w osobie Zielińskiego przybył nowej literaturze polskiej tęgi pisarz o dużych możliwościach rozwojowych. To ostatnie przekonanie potwierdza także nowa książka Zielińskiego. Stanowi ona zresztą jakgdyby polityczne podsumowanie wcześniejszych szkiców nowelistycznych, obracających się wokół tematyki września 1939 roku, jenieckiego życia w Oflagu i bezurozy emigracji na Zachodzie. O ile jednak w dwóch poprzednich tomach mieliśmy do czynienia z moralistyczno - obyczajową krytyką sanacji i z zarysowanymi często dla celów tylko anegdociarskich, nietypowymi sytuacjami życia emigracji, o tyle w „Ostatnich ogniach" Zieliński — wykorzystując bogaty materiał nagromadzony poprzednio — sięgnął z pełną świadomością polityczną do wielkiego i ważkiego tematu: rodowodu i przejawów zdrady narodowej emigranckich zaprzańców. Jego ambicją było ukazanie procesu gnicia polskiego faszyzmu na emigracji oraz zbrodniczej działalności niedobitków burżuazji i obszarnictwa wymierzonej przeciwko Polsce Ludowej. Autor usymbolizował swój zamiar w tytule „Ostatnie ognie", których znaczenie wyjaśnia następująca rozmowa w powieści: *„...Pewne elementy pobitego faszyzmu ocalały. — Mówiłem kiedyś, że w powojennym pogorzelisku tlą się jeszcze niebezpieczne iskry mogące przy pomyślnym podmuchu stać się zarzewiem nowego pożaru. Mam nadzieję, że damy im radę — Jestem tego pewien. Zadepczemy jak szmatę! — rzekł Tański i zacisnął dłonie".*

W takim sprecyzowaniu tematu powieściowego — chociaż nie w pełni zrealizowanego przynajmniej w obrębie pierwszej części „Ostatnich ogni" — upatrywać należy najlepszy dowód dojrzałości pisarskiej Zielińskiego. Słuszności tego twierdzenia można dowieść odwołując się tylko do dotychczasowej praktyki powieściowej w tym zakresie. Książka Zielińskiego zawiera się w obrębie gatunku, który potocznie nazywamy „powieścią polityczną". Jest to oczywiście określenie niezbyt ścisłe, bo czyż tzw. „powieść produkcyjna" nie jest jednocześnie „powieścią polityczną"? i czy w ogóle może istnieć utwór pisarza — marksisty bez elementów „polityki"? Utartego kreślenia tego używamy na oznaczenie powieści, której akcja obraca się najczęściej w tzw. sferach politycznych i dotyczy bezpośrednio wydarzeń i procesów politycznych. Wśród nich — w produkcji powojennej — notujemy takie jak „Mury Jerycha" Brezy i „Węzły życia" Nałkowskiej. Charakterystyczną ich cechą — jak w ogóle zresztą tego etapu rozwoju naszej prozy — była negatywna ocena okresu rządów sanacji, co wyczerpywało się jednak w demaskowaniu gabinetowych gierek i drobnych świństewek prywatnego życia dygnitarzy przedwrześniowych. Na tej drodze — przy psychologistycznych założeniach pisarskich — niewiele można było osiągnąć. Część debiutanckich opowiadań Zielińskiego wywodziła się także z tego zaklętego kręgu. Wyraźny przełom zarysował się w tym zakresie w trzecim tomie cyklu Kazimierza Brandysa „Między wojnami" — w „Troi — mieście otwartym". Pisarz podchodził tu do próby zobrazowania życia emigracyjnego z marksistowską świadomością, pozwalającą mu wychwycić typowe fakty charakteryzujące ówczesną sytuację polityczną i ocenić jej ideowy sens. Z podobnym pogłębieniem marksistowskiego widzenia historii mamy do czynienia w „Ostatnich ogniach" i to zadecydowało o sukcesie pisarza w zakresie podjęcia i ustawienia tematu.

Problematyka rodowodu zdrady narodowej to wielki temat naszej współczesności. Powieść Zielińskiego może i powinna — szczególnie dziś w okresie umacniania frontu narodowego i wzmagania politycznej czujności na każdym odcinku — odegrać dużą rolę. Premier Cyrankiewicz pisał: *„Bić trzeba wrogów Polski, demaskując ich antynarodowe oblicze, odsłaniając ich genealogię przeszłości, ukazując nici prowadzące wprost do ich protoplasiów, od Targowicy poczynając, a na sanacji i endecji i ich emigracyjnych pogrobowcach kończąc... Mobilizując naród do walki o pokój i Plan sześcioletni należy w większym niż dotychczas stopniu wskazywać antynarodowe oblicze zdrajców i zaprzańców".* Na linii tych zadań ideologicznych znajduje się nowa książka Zielińskiego. Charakterystyczne jest, że korzysta ona — jak się wydaje — z olbrzymiego materiału dowodowego nagromadzonego przez proces Doboszyńskiego. Proces, który, jak trafnie uwypuklał prokurator, był „rachunkiem czarnego sumienia reakcji polskiej", który ukazywał typową drogę zdrajców narodu polskiego, miotających się między wywiadem niemieckim i amerykańskim. W sięgnięciu pisarza do przebiegu procesów politycznych należy widzieć słuszną dążność wykorzystywania dokumentów zbrodni upadającej klasy.

Typowość zarysowanej w powieści drogi polskich faszystów, agentów obcego wywiadu Byczołupskiego — Kita i Szulawki — Dahomejskiego — nie budzi żadnych wątpliwości. Zobrazowanie ich losów stanowi najmocniejszą stronę książki Zielińskiego. Nie o wszystkich jednak — a przecież tak w utworze licznych — postaciach powieściowych da się ten sąd utrzymać. Dotyczy to przede wszystkim głównego bohatera i narratora powieści — Jana Masłowca. Trzeba z góry powiedzieć, że Zieliński nie ma szczęścia do swoich „pozytywnych narratorów". Akcentowała to krytyka przy omawianiu wcześniejszych tomów opowiadań. W „Ostatnich ogniach" nasuwają się przede wszystkim dwa zagadnienia: typów używanej w powieści narracji i postaci bohatera — narratora.

Linia przyjętej przez autora konstrukcji niezupełnie pokrywa się z bogatymi wątkami powieści. Dwa dni rozprawy sądowej przeciw go — Kita i Szulawki — Dahomejskiemu, dzięki wysunięciu na plan pierwszy postaci narratora — Masłowca zdają się być ramami dla zobrazowania jego „ścieżki z tamtych lat" — a więc dla zarysowania drogi ideowej przeciętnego, nielubiącego faszystów, liberalizującego inteligenta, który po dłuższych doświadczeniach pod okupacją amerykańską w Niemczech decyduje się na powrót do kraju i, jak widzimy, w dniach procesu staje się lojalnym obywatelem Polski Ludowej, sojusznikiem i przyjacielem działaczy robotniczych. Ścieżka Masłowca *„dziwaczna, pełna niespodziewanych skrętów"*, biegnąca *„częściej nad urwiskami, niż przez kwitnące sady"* ukazywana jest w bezpośredniej relacji narratora.

Już przy omawianiu opowiadań „Przed świtem" i „Dna miski" krytyka sformułowała zasadnicze zastrzeżenie pod adresem ograniczoności widzenia głównego opowiadacza: nie bardzo politycznie zorientowanego przeciętnego oficera rezerwy. Słusznie pisał R. Matuszewski: *„Jako autorskie porte-parole występuje ciągle jakiś niepozbawiony krytycyzmu, w stosunku do tego co widzi, ale też i niewiele dokoła siebie mogący zobaczyć narrator, oficer rezerwy, „autentyczny", ale odbierający czytelnikowi wszelką nadzieję przedarcia się poza zaczarowany krąg przeżyć przypadkowej, „przeciętnej" postaci żołnierza i jeńca".* Jasne, że sprowadzenie autorskiego punktu widzenia do relacji tak wybranego narratora nie mogło zapewnić opowiadaniom Zielińskiego pełnej politycznej słuszności i artystycznych horyzontów. Rola Masłowca jako opowiadacza mogłaby nie budzić podobnych zastrzeżeń, gdyby autor ukazał nam go na dalej posuniętym etapie świadomości ideowej. Jako świadomy marksista byłby on w stanie i zrelacjonować i ocenić swą drogę tak, że nie odczulibyśmy braku autorskiej wszechwiedzy i szerokiego tła obiektywnej relacji. Niestety, Masłowiec z dni procesu to człowiek jeszcze naiwny politycznie, jakkolwiek uczciwy i jego spojrzenie na doświadczenia emigracyjne dalekie jest od koniecznej dojrzałości.

Autor, czując ograniczoność swego bohatera, wprowadził w sposób najzupełniej nieoczekiwany i nieusprawiedliwiony całością konstrukcji powieściowej, duże partie narracji odautorskiej. Całość zakrawa na tok wspomnień i refleksji nasuniętych Masłowcowi przez proces Szulawki i rozmowę ze współuczestnikiem części tych wydarzeń komunistą Tańskim — partie odautorskie rozrywają ten konsekwentny artystycznie tok, mając pozornie poszerzać obraz powieściowy. Ta niekonsekwencja konstrukcyjna nie była bynajmniej konieczna, a i w wyniku ostatecznym nie jest udana. Przede wszystkim — i to jest może najistotniejsze — pozycje, z jakich pisane są partie „narracji obiektywnej" niewiele różnią się od pozycji Masłowca. Przytacza tu autor wprawdzie szereg faktów nieznanych Masłowcowi, ale niewiele różni się to od jego opowiadania zakresem i jakością przytaczanych faktów, a z pewnością nie głębszym komentarzem politycznym. Poza tym łatwo było uniknąć łamania konstrukcji przez potraktowanie postaci Masłowca bardziej „na serio" i związanie go nawet wspólną akcją z emigracyjnymi szubrawcami. Masłowiec, awanturujący się bez sensu po całej Europie, w jakichś przypadkach nie z tej ziemi, musiał mieć oczywiście ułamkowe, przypadkowe i mało reprezentatywne wiadomości o miłej szajce — Masłowiec bezwiednie zawikłany w ich zbrodniczą działalność, wyplątujący się potem z ich sieci i podejmujący z nimi walkę — byłby wystarczająco wiarygodnym i bliskim nam ideowo informatorem, a jednocześnie reprezentantem procesu politycznego rozwarstwienia inteligencji, tak typowego dla lat wielkiego przełomu. Jeśli zaś autor zaplanował powieść szerzej, jako obraz polityczny emigracji, który nie dałby się w całości zamknąć w ramach przeżyć Masłowca, to niepotrzebnie pętał sobie nim ręce, gdyż partie odautorskie sytuacji w pełni uratować już nie mogą.

Wspomniałam przed chwilą, że obydwa typy narracji łączy w powieści w pewnych szczegółach podobne widzenie rzeczywistości, które może z biedy uchodzić Masłowcowi, a już zupełnie nie przystoi „szanującemu się pisarzowi". Występuje ono ze szczególnym natężeniem mniej więcej od połowy książki i obniża znacznie jej wartość. Chodzi tu o elementy taniej sensacyjności, które zupełnie nie wynikają z koniecznego, logicznego toku wydarzeń powieściowych (np. sprawa Bormana), o koncepcję „wariackiej awantury", absolutnej przypadkowości zjawisk, niepojętego splotu życiowych kombinacji. W okupacyjnym bałaganie Europy Zachodniej w 1945 roku tkwiły w jakiejś mierze te piarwiastki, ale Zieliński niepotrzebnie je rozdyma do rozmiarów szampańskiej, a irracjonalnej hecy. Występuje to szczególnie — w sposób śmieszny i zalatujący brukowymi niezwykłościami — w historii romansu Masłowca i Marii, gdzie ambicją autora było — wydaje się — jak najbardziej „wymyślnie" poprowadzić miłosny wątek. Na tego typu kalejdoskopowe, pełne irracjonalnej przypadkowości mieszanie elementów rzeczywistości natykamy się w powieści, niestety, dość często. Wiążą się z nim spore zawiłości fabularne, które poważnie utrudniają lekturę. Są partie książki, które nie recenzentowi, ale zwykłemu czytelnikowi nasunąć mogą konieczność kilkakrotnego wertowania i porównywania nazwisk i wydarzeń. Jeśli nawet niezrozumialstwa fabuły wyjaśnią się w drugiej części powieści, to jednak pierwsza część — stanowiąca przecież jakąś dość zwartą całość — powinna być z nich oczyszczona.

Pod adresem drugiego tomu powieści, który — jak się można domyślać — dotyczyć będzie działalności obcych agentów już na terenie Polski Ludowej, wysunąć trzeba postulat sprecyzowania stosunku autora do typów narracji. Powinna być zatem usunięta dotychczasowa sprzeczność nurtująca „Ostatnie ognie": z jednej strony bogata panorama emigracyjna, „treść odautorska" grubo przerasta problematykę przełomu Masłowca, z drugiej zaś — relacja odautorska zniża się i ogranicza w wielu wypadkach do poziomu problematyki wewnętrznej ubogo zarysowanej postaci „pozytywnego narratora". A więc dla wyprostowania załamania powieści na tym odcinku celowe byłoby zrehabilitowanie Masłowca na przestrzeni drugiego tomu przez pogłębienie przebiegu jego ewolucji w stosunku do zagadnień politycznego życia kraju, przemian ustrojowych i ich kierunku. Oczekujemy też od autora rozplątania w drugim tomie „węzłów gordyjskich" fabuły. Zapewne Zieliński uwzględni tu szerzej i wzmocni udział bohaterów z szeregów klasy robotniczej, których brak odczuwało się dotkliwie w części „emigracyjnej" i bardziej zdecydowanie rozwiąże sprawę dziewczyny z proletariatu — Tuśki Kieszkówny.

Niedomagania nowej powieści Zielińskiego, o jakich dotąd była mowa, ograniczają komunikatywność i czytelność książżki i osłabiają jej artystyczną wymowę. Niemniej, powieść posiada wielkie zalety, przewyższające wielokrotnie rachunek jej błędów. Do takich zalet należy umiejętność prowadzenia interesującej narracji (i to bez elementów niezdrowej sensacji) oraz kreślenia niebanalnych, zindywidualizowanych postaci powieściowych. Porywająca pasja oskarżenia niedobitków faszyzmu i słuszna politycznie tendencja utworu, a także olbrzymi, interesujący, dobrze opanowany materiał poznawczy, jakiego dostarcza czytelnikowi.

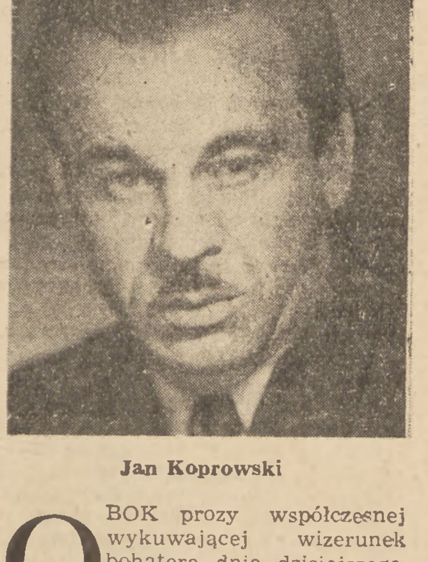
„Ostatnie ognie" to duże osiągnięcie pisarskie Zielińskiego i nowy sukces w rozwoju naszej literatury. Czekamy niecierpliwie na drugą część powieści, której ambicją będzie ukazanie zwycięstwa polskiego ludu pracującego nad faszystowskimi niedobitkami burżuazji i obszarnictwa.

Maria Janion

*) Stanisław Zieliński: „Ostatnie ognie", powieść, część I-sza, 1951, „Czytelnik".

BOGDAN WOJDOWSKI

ZBELETRYZOWANA BIOGRAFIA CHŁOPSKA



Jan Koprowski

OBOK prozy współczesnej wykuwającej wizerunek bohatera dnia dzisiejszego, walczącego o socjalistyczne jutro, doniosłą rolę ideologiczną spełnić może również powieść historyczna, jeśli bohatera odnajdzie trafnie i utrwali jego obraz dla współczesności na tle minionych lat.

Zbeletryzowana biografia Jana Feliksa pióra Jana Koprowskiego*) jest taką nieśmiałą próbą utrwalenia sylwetki bohatera proletariackiego. Do nadania opowieści Koprowskiego miana zbeletryzowanej biografii uprawnia krytyka sam autor, który ze ścisłością notarialną rozpoczyna powieść danymi o miejscu i czasie urodzenia bohatera.

Autentyzm tego rodzaju zbeletryzowanej biografii musi być umowny, literacki. Najwierniejszy biograf nie spisuje wszystkiego o postaci, którą opracowuje — lecz wybiera to, co uznał za stosowne. Krytykowi oczywiście przysługuje prawo rewizji tego, co autor obrał z faktografii i przeniósł do literatury. Przez to jednak, że autor akcentuje charakter biograficzny utworu, w dużym stopniu krępuje pióro krytyka. Mimo to, wydaje mi się rzeczą konieczną dyskusja nad realizmem fikcji powieściowej nawet wtedy, gdy kryje się ona wstydliwie za biografią (Kott). Nie można chyba znaleźć lepszego przykładu na zbeletryzowaną biografię powieściową niż „Moll Flanders" Daniela Defoe. A jednak — co stanowi chyba o wielkości tego dzieła — w tej biografii siedemnastowiecznej ladacznicy o wyjątkowo awanturniczym życiu zawarty jest w epickim wyolbrzymieniu los ówczesnej mieszczanki. Moll Flanders ani na chwilę nie przestaje być kupcową.

Nie widzę w Janie Feliksie typowego bohatera proletariatu dlatego, iż „konstrukcja jego losu" nie jest ujęta realistycznie.

Jan Feliks wspina się do wiedzy — wydaje mi się, że jest to szlachetny rys jego humanistycznej postawy. Ale teraz spójrzmy, jakimi drogami każe się autor wspinać swemu bohaterowi. Fornal Jan Feliks wciska się do rodziny karbowego. Oczywiście, że to wejście proletariusza wiejskiego do rodziny uprzywilejowanej i grubo lepiej sytuowanej „arystokracji" fornalskiej (pełniącej z punktu widzenia jej funkcji klasowej rolę narzędzia, poskramiającego w imię interesów dziedzica ruch klasowo-rewolucyjny mas fornalskich) — musi co najmniej zahamować proces krystalizacji świadomości klasowej bohatera. Tak samo jakby np. Defoe w pewnym momencie przypadków Moll Flanders kazał jej wyjść za dobrze mającego się lorda z dochodem dajmy na to trzech tysięcy funtów z samych posiadłości ziemskich nie licząc udziałów w Kompanii Zachodnio-Indyjskiej. Ale — zaprotestujecie — przez to samo Moll Flanders przestanie być bohaterką mieszczańską — ladacznicą i kupcową w jednej osobie, nie przeprowadzona zostanie naczelna teza powieści itd. Otóż właśnie, w „Opowieści o moim ojcu" mamy do czynienia z tego rodzaju zniekształceniem modelu bohatera. Szkoda, że Jan Feliks wżenił się do rodziny karbowego Grada. Szkoda, że Jan Feliks zanim dostał się do fabryki, musiał (?) służyć za stangreta u doktora Lamparskiego, ta część nie pozwala nam bynajmniej poznać lepiej głównego bohatera, który z proletariusza rolnego przedzierzgnął się w drobnomieszczanina, a za to bez widocznej potrzeby zapoznaje nas z postacią inteligenta jakich wiele spotkać można w powieściach Żeromskiego. Lecz koleje losu Jana Feliksa z punktu widzenia autora są uzasadnione. Musiał on służyć u Lamparskiego za stangreta, gdyż nie chciał pracować jako zwykły robotnik rolny, we dworze, gdzie stracił miejsce woźnicy. Z kolei praca w mieście nastręczyła mu sposobność widzenia Żelaśkiewicza, który go namówił do pójścia — do fabryki.

Pierwsze rozdziały powieści rysujące dzieciństwo i młodość Jana Feliksa mają w sobie coś z atmosfery prac konkursowych na „Opis mego życia", (jaki znamy z ankiety „Młode Pokolenie Chłopów" r. 1937). Na marginesie tej partii „Opowieści" ciśnie się pod pióro uwaga, którą prof. Chałasiński uczynił w „Młodym pokoleniu chłopów", właśnie na podstawie takiego konkursu. Oto ona: „Od nędznej, sprzecznej sytuacji pastucha, normalna droga awansu społecznego w systemie wiejskim prowadzi do stanowiska parobka-kawalera". (I, 230).

Abstrakcyjne kategorie „socjologiczne" w rodzaju „pastucha", czy „parobka-kawalera" mogły zaciążyć ujemnie nad powieścią Koprowskiego tylko dzięki wąskości ram obrazu wsi, jaką przedstawia autor. Koprowski zasugerowany wymogami biografii, nakazującej koncentrować uwagę na postaci naczelnej popadł mimowiednie w błędy, które u autorów „Młodego Pokolenia" wynikły ze swoistej metody socjologicznej, zasugerowanej im, jak też z ich żalów i pragnień w orbicie których się zamykali.

O ile Koprowski z talentem plastycznym potrafił ukazać dwór, dziedzica, tarcia pomiędzy gromadą fornalską a dworem, o tyle na marginesie zepchnął sprawy wiążące się ze skomplikowanym uwarstwieniem socjalnym wewnątrz wsi, co przecież pozostaje w ścisłym związku z kolejami proletariusza, fornala folwarcznego.

Fałszywa wydaje mi się również ocena moralna karbowego z majątku Radwańskiego. Jest coś wysoce niezgodnego z prawdą artystyczną w fakcie, że Jan Feliks po wyrzuceniu przez dziedzica spotyka się z oznakami sympatii i współczucia właśnie i wyłącznie u karbowego. Przy czytaniu opowieści ma się wrażenie, jak gdyby autor uparcie sympatyzował z karbowym (bo tak nakazują wspomnienia?). Karbowy Grad, z racji tego, że zostaje teściem Jana Feliksa pasowany jest niemalże na bohatera pozytywnego. Ile w tym jest sentymentalizmu, a ile surowej realistycznej prawdy nie trudno osądzić. Beletryzacja powieści życiorysowej jest zadaniem trudnym właśnie dlatego, że krępuje pisarza w doborze typowych bohaterów i konstruowania typowych sytuacji. W **„Opowieści o moim ojcu"** uwidoczniły się te zmagania realisty, pragnącego wznieść się ponad statystyczną przeciętność surowego materiału częstokroć niepodatnego i niewdzięcznego w obróbce. Czy Koprowski wyszedł z tych zmagań zwycięsko? Trudno na to pytanie wprost odpowiedzieć.

Wydaje mi się, że wielkość beletrystyki biograficznej Gorkiego tkwi nie tylko i nie głównie w jej autentyźnie, lecz w wielkim realizmie, który wyraża się w tym, że dzieje włóczącego się, poniewieranego chłopca urastają do godności symbolu całej przedrewolucyjnej Rosji. Taka selekcja mteriału literackiego, **która autentyzm pomieści w obrębie typowości** — oto zasadniczy walor beletrystyki biograficznej realizmu socjalistycznego.

Koprowski przechyla się zbytnio w stronę surowego autentyzmu i tu jestem skłonny upatrywać źródła szeregu błędów ideowo-artystycznych „Opowieści o moim ojcu". Obawa przed uogólnieniem artystycznym pcha Koprowskiego w objęcia naturalizmu. Nie będę tu wymieniał tych drobnych wtrętów naturalistycznych, które autor skwapliwie powtykał do swej powieści. Czytelnik sam je odnajdzie z łatwością. Chodzi mi o rzeczy grubo ważniejsze. O proporcje w strukturze utworu. Koprowski nie zachował niestety realistycznej hierarchii ważności problemów. Demonstracja, która jest w powieści momentem kulminacyjnym zajmuje u niego tyle miejsca, co zbieranie grzybów. Bagatela. To samo zjawisko pojawia się u Koprowskiego w nieco innej formie, gdy kładzie on niesłusznie akcenty na sprawach marginesowych, usuwając w cień zasadniczą problematykę. Ten niedowład realizmu, przejawia się zwłaszcza w zakończeniu powieści. Żelaśkiewicz, stary komunista, którego przyjaźni zawdzięcza Jan Feliks stratę miejsca u Radwańskiego, odwdzięcza się Janowi Feliksowi w momencie szalejącego bezrobocia, nastręczając mu posadę woźnego w szkole. Nie wydaje mi się to dostatecznym powodem do zakończenia powieści. Co to w gruncie rzeczy rozwiązuje? Rzeczywiście niekłamaną sympatią obdarza autor postać Żelaśkiewicza, ale to za mało. Ani razu nie pozwala mu się zetknąć z Janem Feliksem na gruncie organizacyjno-politycznej roboty, w akcji partyjnej, w strajku — w działaniu. Tylko: albo przy wykonywaniu posług domowych (Jan Feliks rąbał drzewo u Żelaśkiewicza) — albo przypadkiem. Oto więzy, jakie narzuca pisarzowi mały realizm który pozwala co najwyżej na przyjaźń Jana Feliksa z Żelaśkiewiczem, ale nie ukaże nam tego fornala Jana Feliksa z tymże komunistą Żelaśkiewiczem na płaszczyźnie wspólnej politycznej walki z obszarnikiem, kapitalistą, sanacyjnym żandarmem. Jest jednak w powieści Koprowskiego rozdział tętniący żywą historią. To rozdział o latach pracy Jana Feliksa w hucie. Ten rozdział bogatszy jest w wydarzenia i problematykę istotnie doniosłą od dziesięciu pozostałych. Autor z talentem gawędziarza powiada w nim w sposób przejmujący o wyzysku, zatargach z dyrekcją, strajku, terrorze sanacyjnym itd. Te fragmenty nie pozbawione są również momentów zamierzonego i osiągniętego żywiołu komicznego. A co charakterystyczniejsze, że dopiero tu, na tle masy robotniczej, postać Jana Feliksa nabiera rumieńców życia, indywidualności i dopiero tutaj z postaci tytułowej urasta do rozmiarów bohatera powieści Koprowskiego. Z bezwolnego przedmiotu pisarskich studiów przeobraża się w czynny podmiot historii. Oto szansa, jakiej nastręcza tylko wielki realizm, który odnajduje człowieka nie tylko w rodzinie, w gronie przypadkowych znajomych, ale na tle klasy, jej walki, jej historii.

Skłonność do naturalizmu zaciążyły wydatnie na stylu „Opowieści o moim ojcu". Naturalistyczna maniera językowa skaziła wiele pięknych kart tej książki. Przykra jest zwłaszcza przyrządzona przez autora gwara, na którą składają się zlepki regionalizmów, począwszy od mazurzenia aż do wszelkich form gwary podkarpackiej. Nie w tym jednak upatruję główne niebezpieczeństwo dla prozy Koprowskiego.

Jeśli autor zręcznie, przy zachowaniu umiaru stosuje gwarę w dialogach, to chwyt ten oczywiście ma określoną funkcję. W ten sposób, wzbogacony językowo dialog, nie przeczę, pozwala na daleko posuniętą indywidualizację postaci, wydobycie kolorytu lokalnego. Inaczej rzecz się przedstawia gdy spotykamy się z gwarą w wypowiedzi od - autorskiej, w tkance narracji epickiej. Wówczas sprawia to wrażenie prymitywu i co gorsza maniery stylizatorskiej. Jak choćby w tym fragmencie: „Jaki ten świat trudny. Gdzie nie spojrzeć okiem — barwy i kolory — gdzie nie nadstawić uszu — szumy i szelesty. Ani się w tym nie rozeznać. I tyla tego". To małe słówko „tyla" ma wywołać w czytelniku urok swojskiej krzepy, a w rzeczywistości maskuje do pewnego stopnia inteligencką bezradność: „jaki ten świat trudny".

Bogdan Wojdowski

*) Jan Koprowski. Opowieść o moim ojcu Warszawa, 1950. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

PLEBISCYT

W ogrodzie zakwitły fiołki,
Jeszcze wczoraj ich pączki stulone
czekały na słońce, co rankiem
zabłyśnie po nocy spokojnej.

Gdy wreszcie majowe słoneczko
spojrzało z wierzchołka topoli,
wśród fiołków rozkwitłych szło dziecko,
szło ścieżką przez ogród do szkoły.

A szkoła się mieści w pałacu,
co strzela gotykiem nad zieleń,
pan Scheibler obrywał na płacach,
pałace budował dla siebie.

W koronach drzew, dzieci okrzyki
brzmią ptaków poćwierkom do stroju,
te głosy musimy policzyć —
te głosy — Plebiscyt Pokoju.





TADEUSZ ORLEWICZ

O HISZPANII, FRANCJI I WŁOSZECH

(Co mówi młodzież na Światowym Zlocie w Berlinie)

KTO miał szczęście znaleźć się na Berlińskim Zlocie, ten, zaiste, przejdzie w ciągu dwu tygodni uniwersytet, jakiego nigdy i nigdzie poza taką okazją studiować by nie mógł. Wśród milionowej rzeszy delegatów 90 narodów świata cóż to za studium geografii, polityki, ekonomii i kultury! Cóż to za radość zobaczyć **całą młodość świata,** jej już zwycięskie dziś i zwycięskie jutro.

Słyszycie wokół śmiechy, słyszycie tysiące pieśni, ale z kimkolwiek pomówić z delegatów nagle mocno, poważnie, rozumnie i głęboko rysowany wstaje obraz jego kraju. Bo tu wszyscy są **delegatami walki, tęsknot i woli swojego narodu.**

Pozwólcie, że tym razem streszczę to, co mówi młodzież francuska, włoska i hiszpańska o Hiszpanii, Francji i Włoszech, o krajach, które leżą na skraju Europy Zachodniej, o krajach, które według Wall Street mają stanowić bazy organizowanej agresji przeciwko narodom, miłującym pokój. O krajach, które mają dostarczyć mięsa armatniego aby „pomóc Europejczykom, burząc ich pokój" jak mówi cynicznie Truman.

Posłuchajcie, co mówi młodzież Francji, Włoch i Hiszpanii:

O HISZPANII

18 lipca 1936 roku lud hiszpański w obronie Repuliki podjął krwawy i bohaterski bój z faszystami i bohaterski bój z faszyzmem. Franco, najemnik obcego kapitału, agent Mussoliniego i Hitlera, za błogosławieństwem papieskim, wdarł się na pola, które republika oddała chłopom, wdarł się do miast, gdzie lud objął władzę.

Krwawy był pochód Franco. Wielka była siła ludu hiszpańskiego, walczącego o wolność przeciwko faszystowskiej bestii. W Madrycie, w Guadaramie, na polach Kastylii obok Hiszpanów ramię przy ramieniu stanęli ci, którym sprawa wolności ludów jest najdroższą. Walczyli o wolność Hiszpanii i o sprawę swoich ludów najlepsi synowie Polski i Niemiec, Anglii i Czechosłowacji.

Trzy lata trwała walka, trwał krwawy bój. Franco znalazł pomocnych sobie jurgieltników spod znaku swastyki i rózg liktorskich. Czołgi hitlerowskie szły na okopy obrońców republikańskiego Madrytu. Samoloty hitlerowskie pikowały na republikańskie oddziały nad Ebro. Mussolini gnał czarne koszule na pozycje Guadaramy. Franco zdobył sobie pomocników w kapitalistycznej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Nazywało się to wówczas zasadą „nieinterwencji", nieinterwencji, bo szła sprawa o wolność faszyzmu, psa łańcuchowego imperializmu. Ta nieinterwencja wyglądała w ten sposób, że otoczono Hiszpanię kordonem sanitarnym dla idących w pomoc Republice, a otwierano szeroko granicę dla transportów hitlerowskich, dla amerykańskich i angielskich handlarzy bronią.

Trzy lata trwała nierówna walka. Padła Walencja, Barcelona, Saragossa, padł Madryt. Bohaterski lud Dolores Ibaruri znalazł się pod jarzmem faszyzmu.

Dwanaście lat temu bohaterski generał Walter, generał Lister i inni poraz ostatni wydali rozkazy bojownikom o wolność kraju. „No passaran" — wołali strzelcy Guadaramy. „No passaran" — wołał lud Madrytu, broniący stolicy przed watahami Franco.

„No passaran" woła znów dzisiaj po wielu latach lud Barcelony i Madrytu, lud miast i wsi hiszpańskich w walce o wolność i chleb. 300.000 robotników Barcelony, wielkiego ośrodka przemysłowego, w potężnym strajku zademonstrowało, jak nieugięty, jak niezłomny jest lud.

22 maja — Madryt. Stolica umęczonego kraju, w którym 200.000 więźniów politycznych umiera powolną śmiercią w obozach koncentracyjnych, w którym egzekucje patriotów są powszednim chlebem dla zbirów Falangi, w którym 40% budżetu idzie na policję, żandarmów i szpiclów. W tym dniu Madryt rzucił w twarz krwawemu Franco znów: „No passaran". Powszechnym strajkiem, powszechnym, bojkotem miejskich środków lokomocji, demonstracjami tysięcy lud dał świadectwo że jest, że żyje, że walczy. To dopiero początek — wołają robotnicy Kastylii. To dopiero początek — wołają partyzanci, kontrolujący niemałe połacie kraju.

5 milionów hektarów ziemi obszarniczej Republika przekazała chłopom hiszpańskim. Z tych milionów hektarów Caudillo przepędził chłopów, zmuszając ich do niewolniczej pracy dla wielkich obszarników, 4 miliony 500 tysięcy ton zboża dawała produkcja rolna Hiszpanii w roku 1936. Po dwunastu latach rządów Franco daje o 40% mniej. Chłopom dziś płaci się za zboże 1/3 miejskiej ceny rynkowej. Podatki, bat dzierżawcy, bezwzględna polityka Falangi wobec biedoty chłopskiej wypędzają wiele setek tysięcy z ziemi. Rośnie armia bezrobotnych.

Rośnie armia bezrobotnych w przemyśle. Przemysł frankistowski produkuje zaledwie 50% tego, co dawał rok 1936. Fabryki pracują często tylko jeden dzień w tygodniu i nie są w stanie mimo tego zbyć swojej produkcji. Koszty utrzymania są obecnie dziewięciokrotnie wyższe w porównaniu z latami Republiki. Racja dzienna chleba wynosi 100 gramów, a w niektórych prowincjach wydaje się ją tylko przez 8 dni w miesiącu. Głód i terror są stałym towarzyszem robotników Hiszpanii. Ich dzieci, 10 i 12-letnie muszą pracować w kopalniach węgla. 20% ogółu robotników w przemyśle włókienniczym — to dzieci, skazane przez reżim faszystowski na głód i dni bez jutra. W tym kraju, którego Franco pozbawił uśmiechu, wraz z Falangą panoszy się reakcyjny kler. 50% ludności — to analfabeci. 75% młodzieży w wieku szkolnym zatakowane jest gruźlicą.

Obok luksusowych głównych ulic Madrytu, obok wspaniałych sklepów zawalonych amerykańskimi towarami, — miasto bez dachów, ściek nędzy, zapełniony ludźmi pospołu ze szczurami, tyfusem i gruźlicą. Obok pałaców biskupich i magnackich dworów — lepianki, nory w grobach cmentarnych, trawa i korzonki jako jedyne pożywienie setek tysięcy. Niema budownictwa mieszkań robotniczych w tym kraju, ale rosną za to koszary policji i wojska, poszerza się sieć obozów koncentracyjnych.

„...Bez amerykańskiej nafty, amerykańskich samolotów i amerykańskich kredytów nie wygralibyśmy wojny domowej" — chełpią się frankistowscy dyplomaci. A bez was odpowiadają — monopoliści amerykańscy nie mielibyśmy w swym ręku: wolframu, rtęci i miedzi hiszpańskiej, waszego przemysłu chemicznego i samochodowego. Hiszpania Franco — to dogodna baza dla lotnisk US — Army. Pod ręką jest mnóstwo wysłużonych w ludobójstwie hitlerowców. Jest Falanga, plagiat NSDAP. Więc idzie budowa lotnisk amerykańskich, więc idzie przebudowa portów na użytek nowych kulturtraegerów. Idą również pożyczki na utrzymanie reżimu terroru. Franco wyprzedaje Hiszpanię **zaoceanicznym Morganom** i Rockfellerom.

Ale „nie można pozostawić na ziemi ludzi obok ludożerców, narodu obok faszyzmu". Barcelona jak grom uderzyła w pewnych siebie amerykańskich gangasterów, we frankistowską klikę. Coraz potężniejsze gromy wstrząsają od wewnątrz półwyspem pirenejskim: w Walencji, w Kastylii, w Saragossie. Na bardzo niepewnym gruncie budują swoje bazy podpalacze świata.

„Uważam ,że przeznaczenie historii związało ciebie ze mną i z Duce nierozerwalnymi więzami" — pisał Caudillo do Hitlera w roku 1941. Starannie zarabia sobie Franco na przeznaczenie historii, która należy do ludu, do hiszpańskiej klasy robotniczej, do młodzieży Hiszpanii, spadkobierczyni republikańskich bojowników o wolność ludów świata.

O FRANCJI

Plan Marshalla zniszczył we Francji przemysł lotniczy. Samoloty muszą być amerykańskie. 14 fabryk wstrzymało produkcję, 60 tysięcy robotników poszło na bruk. Wali się przemysł filmowy. Filmy też muszą być amerykańskie. We francuskich fabrykach traktorów i maszyn rolniczych hula wiatr. Traktory także muszą być amerykańskie. 100.000 robotników powiększyło armię bezrobotnych. Ogranicza się powierzchnię siewną pszenicy. Przenica też musi być amerykańska. Miliony małorolnych niema z czego żyć. Jest we Francji dosyć fabryk dla produkcji obuwia czy naczyń. Ale obuwie i galanterię skórzaną i naczynia sprowadza się z Niemiec Adenauera i Schumachera. Stal francuską przetapia się w stalowniach Kruppa. Schuman, minister spraw zagranicznych zmarshalizowanej Francji, ongiś Herr Hauptmann w służbie Wilhelma, dziś minister spraw zagranicznych Francji na służbie USA, a zawsze agent międzynarodowego kapitału, sprzedaje na użytek wojny cały potencjał przemysłu stalowego i węglowego swego kraju, rzucając go na łup amerykańskich monopolistów i ich pełnomocników — niemieckich baronów stali i węgla. To dopiero przekąska.

Wydatki wojenne we Francji sięgają zawrotnych sum. 740 miliardów franków — to ostatnio ujawniona cyfra wydatków na rok bieżący. Dla USA to wciąż mało. Wali się cała produkcja pokojowa Francji. Inflancja szaleje. Liczba banknotów w obiegu sięga setek bilionów. Ceny rosną. Ale to wciąż mało dla USA.

Potrzebni są nie tylko Queille, Schuman i Pleven w biwakowym rządzie, nie tylko de Gaulle, pupilek Waszyngtonu — faszysta ale również zgraja socjalzdrajców, dobrze zaprawionych w łajdackiej robocie antyrobotniczej i antynarodowej, spadkobiercy Bluma tacy jak Moch, kat robotników Francji.

Ale jest Francja ludu francuskiego, dokerów Cherbourga, Marsylii, la Pallice, Francja Thoreza i Jolliot-Curie, Henri Martina, milionów patriotów. Ich głos coraz potężniej bije w świat: Nie przejdą! Nie przejdą po karkach ludu Francji ani de Gaulle ,ani Schuman. Nie przejdzie Eisenhover i Bradley. Jest w narodzie francuskim siła niezmożona, siła i sumienie narodowej sprawy: Komunistyczna Partia Francji, najsilniejsza nietylko ilością głosów oddanych w ostatnich wyborach, ale wielkością idei i słusznością sprawy.

Pod jej przewodem idzie młodzież taka jak Raymonde Dien i Henri Martin. — Pod jej przewodem idą wszyscy ci, którzy myślą po ludzku i czują po ludzku w walce o Francję i pokój. Nie przejdą — wołają ludzie Nicei, wrzucając do morza amerykańskie transporty śmiercionośnej V-2. Nie przejdą — rzucają w twarz dokerzy la Rochelle na czele z młodym metalowcem, Raymond Agasse — francuskim i waszyngtońskim gangsterom. „Francja nie dla Trumana, nie podejmiemy broni, skierowanej przeciwko Krajowi Rad" — bił Eisenhovera okrzyk milionów ludności Paryża i Bordeaux i Lille. Ta Francja, która ma dostarczyć podpalaczom świata mięsa armatniego, która ma wić gniazdko dla amerykańskiego sztabu wraz z hitlerowskimi specjalistami od ludobójstwa, kraj, który w szaleńczych planach USA miałby się stać nową Koreą, ta Francja znajdzie dosyć siły do walki z handlarzami śmierci i z rodzimą reakcją. I terror i oddziały US-Army i zdradziecka rola Mochów czy de Gaullów, nie zdołają złamać ludu francuskiego w walce o Francję, w walce o pokój.

O WŁOSZECH

Na odwrocie banknotów emitowanych w swoim czasie przez anglosaski zarząd wojskowy we Włoszech, tak zwanych „ami-lirów" znajdował się dekalog czterech amerykańskich „wolności", jakie armia Trumana miała przynieść Europie. Naród włoski bardzo szybko zapoznał się z tymi „wolnościami". **Bebrobocie** rozhulało się wraz z marshallizacją kraju. 3 miliony 500 tysięcy bezrobotnych, w tym co najmniej 1 milion młodzieży do 25 lat. **Głód** toczy najszersze rzesze ludności. **Widmo wojny** wróciło na półwysep. **Faszyzm** wrócił do łask. „Dwadzieścia lat faszyzmu nie należy do historii Włoch, bo to nie była historia, lecz kronika, ściślej — kronika kryminalna" woła socjalista, Mazzali a z nim miliony Włochów. „Nie. To był okres wigilijny — woła de Gasperi, odpowiednio pouczony w papieskich kuluarach i w przedpokoju ambasadora USA w Rzymie. Gdyby nie USA lud włoski bardzo szybko dałby sobie radę z de Gasperim, Scelbą czy Saragatem. Gdyby nie USA, nie byłoby tak nieograniczonego pola dla rosnących stale zysków kapitalistów, rosnącej pauperyzacji. O tym wie lud włoski i do tych czterech „wolności", lansowanych zapomocą „ami-lira" dorzucił piątą — **wolność od amerykańskiego żandarma kapitalizmu.**

Komuniści pod przewodem Togliattiego i socjaliści Nenniego, zwarci w jednolitym froncie walki o Włochy i pokój, przewodzą ludowi włoskiemu. Żywiołowy gniew ludu, przeradza się w zorganizowany atak milionów na trzeszczący gmach kapitalizmu i na imperialistyczne knowania USA. Atak potężny i nieustanny. Czujny i skuteczny. 1000 strajków oto pole walki włoskiej klasy robotniczej w ciągu ostatnich dwóch lat. Strajków w walce o chleb, o ziemię, o pokój, o wolność od rodzimych i obcych wyzyskiwaczy. Setki demonstracji, okupionych krwią proletariatu. Oto wielki ruch chłopstwa, zajmującego leżące odłogiem tysiące hektarów majątków obszarniczych. Kiedy chłopi południowych Włoch zajmowali ziemię obszarniczą albo, watykańską żandarmeria rządowa kierowała ogień karabinów w masy chłopskie, zapełniała nimi więzienia, aby ziemia włoska nie rodziła chleba dla włoskich dzieci. Ale proletariat włoski niesie pomoc walczącemu chłopstwu, śle maszyny rolnicze i zbiórki pieniężne i wspiera walkę chłopstwa strajkami generalnymi. Tak rósł i potężniał pod przewodem partii komunistycznej sojusz robotniczo-chłopski.

Gaiota, młody robotnik mediolański, ofiarny przywódca strajkujących chłopów, ginie od kul zbirów nasłanych przez obszarników. Tosarello, Venturi, Bizzari i Angelo Mauri — zabici w czasie walki o ziemię. Krew i wspólna sprawa scementowały we Włoszech robotników i chłopów. Nic nie pomogły oszukańcze manewry rządu de Gasperiego wokół reformy rolnej, a obliczone na rozbicie wspólnego frontu wszystkich pracujących. Nic nie pomogły cuda przy urnie wyborczej i rozbijacka robota kleru i socjal-zdrajców. We Włoszech de Gasperiego jest lud Togliatiego i Nenniego.

Ten lud od przemysłowej północy po rolnicze południe przejął sprawę pokoju i wyzwolenia Włoch w swoje ręce. I nie wypuści jej aż do ostatecznego zwycięstwa. O tym mówi walka milionów prostych ludzi. O tym mówi przysięga na wierność sprawie pokoju, złożona przez 500.000 młodych, a z nimi idą i pójdą inni, którym spadła łuska z oczu, którzy wyzwalają się spod średniowiecznego obskurantyzmu, narzuconego przez kler w szkołach włoskich, wyzwalają się spod władztwa uświęconych kłamstw. „Wojna jest zjawiskiem ludzkim, naturalnym i nieuniknionym" woła teoretyk Akcji Katolickiej Mori, podobnie jak przed laty, Mussolini. „Wojna jest dla mężczyzn tym, czym dla kobiety macierzyństwo". Ale Włosi, ale młodzież włoska, jak młodzież francuska, zna już dokładnie takich „teoretyków" i takich „wodzów". Przez ziemie włoskie i fabryki idzie coraz potężniejszy głos: „Ziemi, nie wojny! Chleba — nie armat! Amerykanie do Ameryki!" Oto głos milionów.

Tadeusz Orlewicz

ZOFIA RZEPLIŃSKA

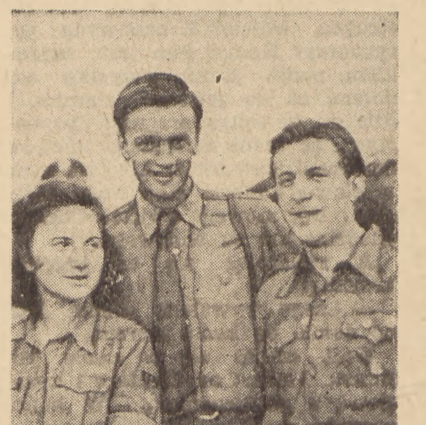
Sztandary nad Helgoland

Jeżeli, jako motto pamiętnika, prowadzonego na wyspie przez młodych patriotów niemieckich w Helgolandzie widnieje napis:

„Każda bomba, która pada na Helgoland, pada na Niemcy.

Każda bomba, która pada na Niemcy pada na świat".

— to jest on symbolem głębokiego powiązania sztandarów na Helgoland z ogólną walką o zjednoczenie



Młodzież z FDJ.

i demokratyzację Niemiec, z wzrastającą dynamiką udziału młodej generacji niemieckiej w obronie pokoju. „Wszystkie szykany Bonn nie mogą przeszkodzić, aby również zachodni chłopcy i dziewczęta... spotkali się na wielkim Zlocie Pokoju młodzieży wszystkich narodów" — mówi Hans Peter Goetsche, przywódca akcji na Helgoland.

„Skutek jest taki, że teraz już nie tylko wiele niezorganizowanej młodzieży również przechodzi do naszych szeregów, lecz również ci, którzy należą do mieszczańskich i wyznaniowych organizacji za wszelką cenę pragną jechać do Berlina, aby własnymi oczami ujrzeć „te straszne rzeczy", których ujrzenia Bonn stara się przeszkodzić wszystkimi środkami terroru.

„Pewien jestem, że ten, który po tym wielkim przeżyciu wróci do domu, stanie się entuzjastycznym działaczem o pokój i zjednoczenie Niemiec. Tak dzieje się ze wszystkimi, którzy z tego zgiełku walenia w bębny i brudnych kaiserowskich kłamstw, raz dostaną się do NRD. Tego właśnie lękają się z Bonn i Petersberg ci, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za remilitaryzację Niemiec".

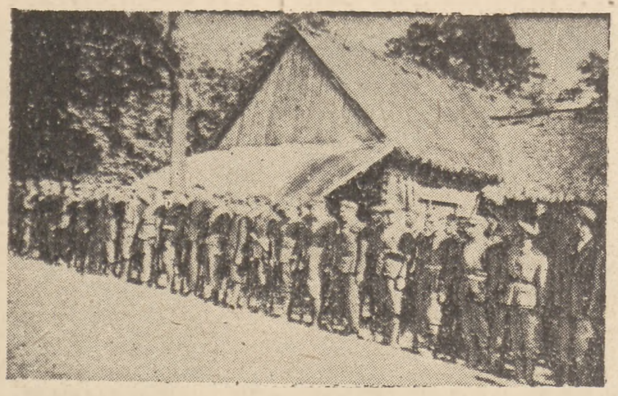
Opinia bohatera z Helgoland bynajmniej nie wypływa tylko z jego wspaniałego młodzieńczego entuzjazmu, lecz opiera się na konkretnych faktach, dotyczących sytuacji i postawy młodzieży w zachodnich Niemczech. Poza FDJ do ważniejszych organizacji należą tam: Związek Młodzieży Socjalistycznej i organizacja „Sokół", kierowane przez SPD, Chrześcijańska Młoda Unia, kierowana przez CDU — ponadto istnieje jeszcze kilka drobniejszych. Charakterystyczne jest bardzo, że wszystkie te organizacje — oczywiście z wyjątkiem FDJ — są opozycyjnie nastawione wobec swych macierzystych partii. Związek Młodzieży Socjalistycznej i „Sokół" potępiają program SPD a zwłaszcza ostro zwalczają stanowisko Schumachera w sprawie remilitaryzacji i współpracy z partiami faszystowskimi. Bardzo znamienne światło na stosunek tych organizacji do SPD rzuca fakt, że ostatnio na posiedzenia młodzieżowe, kierowany jest zawsze ktoś ze starych „socjaldemokratycznych" asów, zdrajców typu Schumachera, Schmidta lub innego Kriedemanna. Okazuje się, że „góry" partyjne nie mają zaufania do swoich podopiecznych i uznały za konieczne ścisłe ich kontrolowanie. Podobnie przedstawia się sprawa z organizacją młodzieży chrześcijańskiej, która jakkolwiek nie tak ostro i aktywnie — jednak wyraźnie i zdecydowanie domaga się zmiany polityki CDU w dziedzinie zabezpieczenia rozwoju materialnego i duchowego młodzieży. Ci wszyscy, zarówno z organizacji przynależnych do SPD jak i CDU są głęboko rozczarowani sytuacją panującą w Trizonii i wstrząśnięci perspektywą przyszłości, jaka się rysuje przed ich oczyma. Bardziej świadomi i wyrobieni, z przerażeniem obserwują spustoszenie moralne i fizyczne, jakie wśród młodzieży zachodnio - niemieckiej szerzy polityka handlarzy mięsem armatnim — polityka remilitaryzacji i bezrobocia, polityka braku szkół i zastępowania wyższych studiów werbunkiem do Legii Cudzoziemskiej, polityka nor dla przesiedleńców i luksusowych dzielnic dla Amerykanów, polityka poligonów na polach uprawnych i zamieniania mieszkalnych bloków na koszary, polityka beznadziejnej teraźniejszości i upiornych perspektyw nowej wojny na przyszłość. Jakże znamienny jest w tych warunkach głos konserwatywnego pisma „Die Zeit", które z ubolewaniem stwierdza, że postawa antyremilitaryzacyjna młodzieży niemieckiej, powoduje, że „znajduje ona drogę do szeregów KPD".

Cóż dziwnego, że wspaniała żywotność FDJ, pełen dynamiki program jej rozwoju, bezkompromisowa walka z neofaszyzmem i remilitaryzacją przyciągają jak magnes młodzież z innych organizacji, jak również młodzież niezorganizowaną. I — cóż dziwnego, że pogrobowcy hitleryzmu widzą w tej żywiołowej fali działalności młodych demokratów czynnik niebezpieczeństwa dla swego hitlerowskiego programu!

26 czerwca b. r. Adenauer i Lehr zdelegalizowali działalność FDJ w Niemczech zachodnich. Przyczyna jasna — trudno było handlarzom śmierci tolerować spokojnie działalność tych, którzy walczą o życie dla narodu — niemniej rezultat tego zakazu przedstawia się dla satrapów bońskich wręcz groteskowo. Nieważne jest bowiem, czy zebrania FDJ odbywają się legalnie czy nielegalnie — ważne, że tak jak przedtem, ginęły nocą tajemniczo w odmętach rzek materiały przygotowane do minowania mostów, tak i teraz otwory w skałach nadreńskich Lorelei wyborowane dla wchłonięcia dynamitowych porcji zasypywane są, zanim zdążą napełnić się materiałem zniszczenia. Adenauer może wprawdzie zakazywać wiele, miłości ojczyzny nie może jednak zabronić i dlatego walka FDJ przeciwko remilitaryzacji, mimo wciąż wzmagającego się terroru rozwija się nieustannie, wciągając w swój krąg wciąż nowe rzesze młodzieży. Jest ich teraz około dwa miliony w Berlinie. Mimo największych szykan, młodzież zachodnio - niemiecka okólnymi drogami, przez wertepy zielonej granicy przedziera[illegible] trzeć do punktu Światowego Spotkania. Niektórzy zatrzymywali pociągi w biegu, inni fingując akcję ratowniczą topielców rzucali się wpław ze statków i dopływali szczęśliwie do brzegów NRD. Reakcyjna prasa angielska i francuska nie może ukryć podziwu, jaki wzbudzą w niej entuzjazm młodzieży organizującej zjazd! Korespondent „Monde" pisze o „cudach" młodzieży, która zdołała rozwiązać problem transportu i pomieszczeń dla ponad dwóch milionów ludzi!...

Osiągnięcia, które dla obserwatorów zachodnich mogą się wydawać „cudami", są chlebem powszednim dla młodzieży, wychowanej w ogniu tej samej ideologii, która położyła fundament pod rozwój Niemieckiej Republiki Demokratycznej. To jest młodzież, której wzrost dokonuje się skokami, która rywalizuje z dorosłymi w współzawodnictwie pracy, obejmuje najbardziej trudne i poważne stanowiska kierownicze, z pełnym poczuciem odpowiedzialności bierze udział w decyzjach natury społecznej i politycznej, i dla której punktem wyjścia w konstruowaniu wszelkich programów życiowych jest walka o pokój. To jest młodzież, której bracia i siostry w Niemczech zachodnich znaczą swoją działalność takimi zdobyczami — jak powstrzymanie śmiercionośnych ćwiczeń na wyspie Helgoland — to jest młodzież, dla której sztandary zatknięte nadludzkim bohaterstwem na tej wyspie stały się już ogólnym symbolem. Symbolem płomiennego bezkompromisowego oddania w walce ze złą przeszłością i w walce przeciwko tym krwawym pogrobowcom przeszłości, którzy chcieliby zawrócić jeszcze raz nurt historii i jeszcze raz naród w przepaść sprowadzić.

Zofia Rzeplińska





EDWARD MARZEC

SŁOŃCE WSCHODZI*)

Pan Okarmus, pisarz gminny w Szreniawie późno dobił do domu. Podwodę zwolnił prędko i wołał na żonę, żeby podała kolację.

Pobrał dziś w oddziale „Społem" w Chlebowie jednorazowy przydział materiałów i skóry dla wysiedleńców zamieszkałych w szreniawskiej gminie. Nie było tego wiele i nie wystarczyłoby na zaspokojenie potrzeb nawet dziesięciu procent, gdyż tutejsza gmina przyjęła aż sześćdziesiąt rodzin. Ale Okarmus nie musiał się tym martwić. W poprzednich latach uwzględniał tylko najbardziej natrętnych, wydzielając im po odrobinie na otarcie łez, resztę jak mówił, zachowywał dla ofiarnych pracowników gminnych. Ponieważ jednak nikt prawdy nie dochodził, przeto sam pan Okarmus korzystał najwięcej.

Dzisiejszą wiadomość o wizycie partyzantów pisarz przyjął obojętnie. Machnął ręką i skwapliwie zabrał się do jedzenia. Okarmusowa tymczasem rozwiązała worki, rozwijała łokciówkę, przymierzała.

— Popatrz, Jerzy, tego kuponu to naprawdę dla nich szkoda. Wełna. I to dobra. Zamienię za naszą i Adasiowi uszyjemy ubranie.

Okarmus chlipał zupę nie podnosząc głowy znad talerza. Duża baniasta jego twarz poczerwieniała, woreczki pod oczami odcinały się wyraźniej niż zwykle.

— Udała ci się ta zupa. Masz jeszcze?

Pisarzowa podreptała do kuchni. Postawiła nową porcję i zajęła się przydziałem.

— Albo ten kawałek flanelowy— odezwała się znowu — przecież grzech taką okazję przepuszczać z ręki! Powiesz, że nic więcej nie dali. Nie dowiedzą się przecież, a nam się przyda. Szkoda, że Aliny nie ma w domu. Na pewno by sobie jeszcze coś wybrała.

I tym razem pisarz nie odpowiedział. Odsunął próżny talerz, rozparł się wygodnie w fotelu. Zapaliwszy papierosa wciągnął z lubością pierwszy dym. Żona nalegała.

— Jurkowi też by można kazać z tego uszyć garnitur.

— Dajże spokój, oba w jednym kolorze? — zaśmiał się Okarmus.

— A cóż to? Zresztą wielkie rzeczy, mnie kostium potrzebny. Mogę wziąć dla siebie.

— Nie ma o czym mówić. Schowaj do worków jak było.

— I rozdasz im to wszystko? — Okarmusowa zaniepokoiła się.

— Byłbym chyba ostatnim durniem. Mówię ci, schowaj. I ani słowa nikomu, że cokolwiek przywiozłem. Kamień w wodę! Żeby mi się znowu zeszłoroczne plotki nie powtórzyły.

Przygroził żonie palcem i napuszony patrzył jak zwijała kupony.

— Jeszcześ skóry nie widziała — dodał łagodnie — ale już nie zaglądaj. Trzeba to wszystko dobrze schować.

Ostatnie słowa padły w samą porę. Okarmus zerwał się raptownie. Chwycił dwa worki naraz i taszczył przez starą szafkę do schowka. Czas naglił. Po delikatnym pukaniu w szybę ozwało się mocniejsze, a równocześnie klamkę od drzwi ruszał ktoś natarczywie.

— Już wszystko? — spytała Okarmusowa. — Idę otworzyć. Ty siedź w drugim pokoju.

Po chwili za pisarzową wsunął się do kuchni zmarznięty wójt. W sieni bełkotał Kozik, niezgorzej podpity. Okarmus poznawszy gości po głosie, wyszedł z pokoju w rozpiętej koszuli. Wójt spojrzał na pisarzową z wyrzutem.

— Nic pani mężowi nie mówiła co tu się działo? — spytał z pretensją.

— Wiem, wiem — machał Okarmus ręką. — Ale opowiedźcie, wójcie od początku. Panie Kozik, proszę niech pan spocznie wygodnie. Proszę, proszę — zachęcał policjanta.

Rozsiedli się. Wójt nabrał pary w płuca, zaczął opowiadać. Szczegół po szczególe. Jak przyszli, ilu ich było, co ten główny mówił. Opisał wygląd obydwu partyzantów i wyłożył sedno rzeczy. Załamywał ręce i klął, potem zaczął od środka i powtarzał te same szczegóły. Opowiadanie było już nudne. Pod koniec, gdy wójtowi się zdawało, że wreszcie wywoła współczucie, Okarmus wybuchnął śmiechem:

— Hehehe!... — wtórował Kozik przebudziwszy się z drzemki.

Wójt wybałuszył ze zdumienia oczy. W pewnej chwili ruszył powiekami, oczy zaszły mu wilgocią, wargi zadrżały.

— Ciiicho! — syknęła pisarzowa! Ktoś bębni w szybę.

Umilkli nagle. Pukanie się powtórzyło.

— Zdawało ci się — mruknął Okarmus.

— Nieee — wyszeptała — ktoś stukał... ooo, znowu.

Kozik sięgnął po karabin i wycofał się do pieca.

Wójt skoczył do drugiego pokoju. Pisarz zdmuchnął lampę. Pukanie powtórzyło się silniej. Przez szybę dolatywało wołanie: „swoi, proszę otworzyć, to swoi, z Błogocic"...

— Okarmusowa zapaliła lampę, a on odsuwał rygle i badał przez drzwi. Zientara podawał swoje nazwisko, dodając, że jest z Benczykiem. Za nimi wślizgnął się do kuchni woźnica, Baranek.

Goście zasiedli nie zdejmując kożuchów. Rozmowa szła opornie. Wiedzieli, że pisarz jeździł do Chlebowa, więc też do niego pretensji nie było. Ale, gdy po chwili pokazał się wójt, Zientara nastroszył pióra.

— Ano — widzicie — warknął na widok wójta — jest winowajca! Z kogo wy wariata chcecie strugać, wójcie? Z uczciwych gospodarzy? Kpiny! Pan jest świadkiem, panie Kozik, wszystko oddałem, co do jednego ziarnka. I dziś mi tu sołtys przynosi „powiastkę", że mam szesnaście metrów odstawić! Szesnaście! Albo się mnie w głowie kiełbasi albo wójt żarty stroi. No, mówcie wójcie! Chcemy wiedzieć kto tu winowaty.

A zwracając się do parobka krzyknął

— Czego wywalasz ślepie. Jedź do domu, bo konie marzną.

Wójt cofnął się w siebie jak ślimak. Patrzył na Zientarę i kiwał głową z politowaniem. W końcu wyrzekł.

— Nie udawajcie, że nie wiecie o co chodzi.

Wiem, mówił mi sołtys. Ale mnie nic do tego. Nie chcę ich znać, ani wiedzieć kto to był. Partyzanci, czy bandyci... Ja kontyngent oddałem. Kwity trzymam!

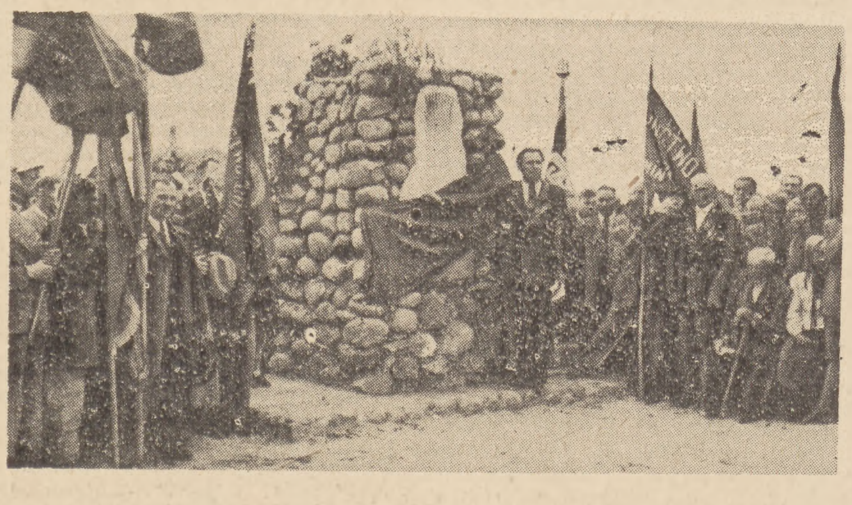
Pisarz zmieszał się łagodnie.

— To po co tyle wrzasku? Odstawione i spokój. Wójta zmuszono, grozili mu bronią, kazali i musiał robić. A wyście odstawili, to możecie spać bez obawy.

— Łatwo panu mówić — sprzeciwił się Zientara, — a mnie jeszcze życie drogie. Czy to do Zientary nie trafią, jak będą chcieć? No?

— A widzicie!... przyłapał go wójt. — Moje życie tańsze, hę? Ciekawym jak byście wy na moim miejscu zrobili, gdyby wam taki bandyta nagan do brzucha przystawił...

— Mnie nie ma prawa — przerwał Zientara — bom zboże oddał. Sami żeście w papierach odnotowali...



Pomnik chłopskich bohaterów w walce z sanacją.

Sprzeczka toczyła się ostro. Dopiero, gdy pisarz zabrał głos powtórnie rzecz się wyklarowała.

— Ani wy, ani wójt! — mówił Okarmus. — Winni są ci, którzy zalegają.

— Jak to — rzucił się znowu Zientara — przecie tu stoi wyraźnie. Pokażcie Benczyk pismo. Pod pieczęcią, z podpisem wójta, że ci teraz zalegają, co już oddali. Na przykład ja zalegam...

— Dajcie sobie powiedzieć — klasnął Okarmus. — Kto zalegał, ten zalega. Ci partyzanci są głupi. Wójt może trzy pisma wydać — tłumaczył — i na diabła się to zda. Wykazy dawno leżą w Chlebowie i ekspedycja według tych wykazów ściąga.

Okarmus uśmiechnął się triumfująco. Wójt rozdziawił usta, jak wierzeje, twarz zmieniła mu się w mgnieniu oka. Wstał i roześmiawszy się z ulgą wykrzyknął.

— Prawda. Na śmierć zapomniałem... a to się oszukali! Hahaha! To pan się z tego tak śmiał? Hahahaha!...

— Czy aby naprawdę te wykazy są w powiecie? — upewniał się Zientara.

— Sam je zawoziłem. Ile temu będzie... wczoraj tydzień minął, tak wójcie?

— Taaak — przytwierdzał wójt — obaśmy wtedy byli w Chlebowie.

Zientara udobruchał się. Benczyk zaś oblizywał się i mrugnął na wójta.

— Pasuje oblać — wyręczył ich domyślny Kozik. — Numer na sto dwa!

Wzięli się z nagła. Kieliszki brzękały często, a gdy na stół wlazła już druga połówka, wszyscy mówili naraz, z wyjątkiem Kozika, który się zalał prędko.

Okarmus oszukiwał i dzięki temu głowy nie tracił. Tamci spijali z ochotą, a już Zientara folgował sobie bez miary. Ściskał wójta serdecznie, ślinił go jak cielę, wiwatował na cześć pisarza i grzmiał bez ustanku.

— Ja wiem — bajał, wygrażając pięścią, — to jest peperowska ręka. Bolszewickie porządki chcą zaprowadzić! Nawet parobek zaczyna ci już zazdrościć i mędrkuje. Chce wolności — powiada, jakby jej nygus nie miał. Ja mu na to krótko. Zle ci, to hajda w świat. W Rzeszy ludzi potrzebują, leć! Komuniści z takich mędrków się robią. Byle obrzynek, ubogi ciapciuć, co mu się robić nie chce — sprawiedliwości szuka. Jakby z tej sprawiedliwości chleb wypiekali... he he. A kombinujże jak ludzie, to będziesz miał... dobrze mówię, czy nie — krzyczał Zientara, bijąc pięścią w stół.

— A jak to z tym kontyngentem było, Zientara? — przekomarzał się Okarmus. Oddaliście choć ze trzydzieści metrów!

— Cooo? Trzydzieści? Nic. Ani jednego Przyznaję się... Ale przecie kosztowało sporo, darmo się nie załatwi. Wszystko jedno mnie o zboże nie chodzi, jeno się o sprawiedliwość, pisarzu kochany.

Benczyk patrzył na mówiącego, spod przymrużonych powiek, jak przez szkło. Trunek spętał mu język. Podniósł rękę i zigał palcem na Okarmusa, żeby Zientarze nie wierzył.

✻

Za oknem poświstywał wiatr. Drobny śnieg fujał od zachodu. Obrócony bokiem do wiatru Baranek potrząsał lejcami. Szreniawska kolonia została daleko w tyle. Ostatnie chałupki w Wielopolu czerniły się ledwie. Potem długo puste, białe pola i wreszcie pierwsza zagroda w Błogocicach. Sięgnął po bat W tym momencie błysnęły z przodu trzy latarki. Usłyszał rozkaz: stój! Kto idzie?!

Otoczyli go zręcznie. Gdy wymienił nazwisko i powiedział skąd wraca, trzymający siodłową kobyłę za uzdę towarzysz krzyknął ucieszony.

— A to świetnie. Powiedz kto tam jest? Obstawę mają?

— Kozik tylko. I zdaje się podpity — objaśnił Baranek. — Byłem w mieszkaniu, nikogo więcej nie ma.

— No, towarzysze, siadajmy! — uciął dowódca.

Baranek zawrócił i wyładowane partyzantami sanki mknęły ku gminie jak do ognia. Wśród obecnych, nie licząc Baranka, tylko Puchała Bronek był miejscowy. Sroga, Krzysztof i Domagała o tej samej godzinie pakowali broń zdobytą po pijanej ekspedycji w Mniszowie. Młodzik stojący za plecami Baranka wiedział o zuchwałej operacji w Mniszewie. Trząsł się ze złości, że zamiast po broń wysyłają go po bzdurne robótki do wójtów. Cóż robić? Rozkaz, rozkazem — zagryzł zęby — wyrwał bat Barankowi i poganiał konie.

Zajechali pod gminę od sadu i po krótkiej rozmowie otoczyli budynek. Baranek poszedł budzić stójkę, żeby otworzył frontowe drzwi, a tamci zachodzili od kuchni.

✻

Kozik klaskał w dłonie i tupał z uciechy. Ale numer — wołał — niech mnie szlag trafi! Pierwsza klasa. Napij się bara... nek i ty...

Drwiące miny Benczyka i ziganie palcem rozjątrzyły Zientarę. Bił pięścią w stół, krzyczał, nie dając innym dojść do słowa. Ostrze mowy skierował teraz w sołtysa.

— Benczyyyk! — wskazał głową na błogockiego sołtysa.

— On jeszcze za swoje świństwa odpowie.

A zwracając się do gminnych dygnitarzy, wyłożył dokumentnie swoje zdanie o tym człowieku.

— On się sprzeda każdemu — mówił Zientara o Benczyku. Daj mu wódki — to twój. Wytrzeźwieje i znowu kantuje. Ja Benczyka za gospodarza nie mam. Gospodarz musi mieć honor! Honor musi mieć, prawda wójcie?!

Tamci łagodzili, lecz okazało się to zbyteczne. Benczyk ani się nie oburzył ani zasmucił. Gibnął ręką niedbale. Potem mrugnąwszy szklistymi oczyma, zauważył lekceważąco.

— Zientara pieprzy głupstwa. Nie wie bożuś czy jutra doczeka, a mnie tu będzie honor zadawał. Widzieliście go, tego honorowego gospodarza? Hahaha! — Śmiał się Benczyk z Zientary.

Okarmus obejrzał się na Kozika. Policjant wstał, ziewnął głośno i przeciągał się. Nagle opuścił ręce, natężył słuch. Patrzał na Okarmusa.

— Ktoś tu chodzi od frontu... — odezwał się.

— Komu by się ta chciało — powątpiewał Zientara.

Pisarz jednak nie lekceważył sprawy. Zerwał się z krzesła i też nasłuchiwał.

— Stójka chyba drzwi zamykał— pocieszał się — Zamknął i poszedł spać. Może stróże się zapędzili, aż tu...

Rozległo się ostre pukanie w okno i drzwi. „Otworzyć!" — woła ktoś z pola — wymachując w oknie granatem.

Tymczasem główne wejście od drogi było już otwarte.

— Panie Kozik, panie Kozik, niech pan nie strzela — prosił Okarmus — widząc, że policjant reperuje. Niech pan schowa karabin. Przecież my tu nic złego nie robimy.

Pobiegł otworzyć. Partyzanci weszli do kuchni z dwóch stron jednocześnie.

Po rozbrojeniu Kozika sprawdzili dowody osobiste. Błogockich i policjanta dowódca kazał zamknąć, a sekretarza z wójtem poprosił do biurka.

— Pokażcie wykazy kontyngentów.

Okarmus otworzył szufladę i wydobył papiery.

— Błogocice załatwione, wójcie, co? — szczebiotał młody partyzant. Proszę siadać do maszyny — skinął na Okarmusa. Zrobimy sprawiedliwość w Tuszowie i Spytarach.

Okarmus stukał jak najlepsza maszynistka. Przygotowali nowe wykazy. Potem podyktowali pismo do powiatu ze starą liczbą dziennika. Wójt przyłożył pieczęć i podpisał.

— Odwieziecie to, sekretarzu, do starostwa jutro? — spytał młodzik.

Okarmus nie rozumiał. Otwarł usta, do odpowiedzi, ale doprawdy nie wiedział o co chodzi. Przecież wykazy zaległości dawno w powiecie leżały i spóźnione pomysły nocnych gości mogą wzbudzić tylko śmiech.

— No jak, odwieziecie? — dopytywał się partyzant. My wam damy ochronę, dopilnujemy...

Okarmus zdrętwiał. Przemknęło mu przez myśl, że ci szatani chcą go wpędzić w nieszczęście. Jeśli ich rozkaz wykona, to się hitlerowskiej władzy narazi.

— Taaak... — jąkał się — to znaczy... Nie wiem... może wójt. Na to tamci roześmiali się, a dowódca poklepał Okarmusa po ramieniu.

— Ani, pan, sekretarzu, ani wójt. Sami to załatwimy. Jutro te, o te tu wykazy zaległości będą w starostwie. Jeżeli ekspedycja przyjedzie do gminy, to ci, tutaj wymienieni beda napastowani. Nie biedacy, ale właśnie szczupaki, specjaliści od kombinacji i wyzyskiwania drugich. Proszę o tym powiadomić wszystkich według listy, aby nikt nie został zaskoczony. Bo szkoda ludzi. Do widzenia.. Aha, telefony urwane? Dobrze, chodźmy.

Wiatr wdarł się do mieszkania i zawirował. Okarmus zamykał za wychodzącymi, wójt stał zbaraniały. Z jednej strony czekała go przeprawa z chłopami — z drugiej odzywał się strach. Dziś przyszli w takiej sprawie — myślał — jutro się zjawią, żebym łapówki oddał...

Kaput dobre lata — westchnął.

A Okarmus jakby to samo miał na sumieniu powtórzył za wójtem.

— Kaput, panie wójcie, co?

✻

Świtało już, gdy Baranek trzeci raz tej nocy zajechał przed gminę. Partyzantów odwiózł do Gruszowa. Piszczał, że konie rzuci i pójdzie z nimi, kazali mu jednak wracać. Ale żeby sobie choć trochę powetować postanowił spłatać gospodarzowi figla.

Zientara przetrzeźwiał, toteż gdy parobek stanął przed jego obliczem poznał go od razu.

— Po coś tu przyszedł? — spytał parobka.

— Żeby was zabrać do domu... akurat jadę tedy...

— Skąd jedziesz?

— Odwoziłem partyzantów.

— Kogo. Może jeszcze tych, co tu byli?!

— Przecież i tu ich przywiozłem — odparł Baranek.

Zatrzymali mnie, kazali wracać, to co miałem robić? Bić się z nimi, czy jak.

— W imię Ojca i Syna!... Nie dość, że to... to jeszcze moje konie ich wożą? Moje konieee!...

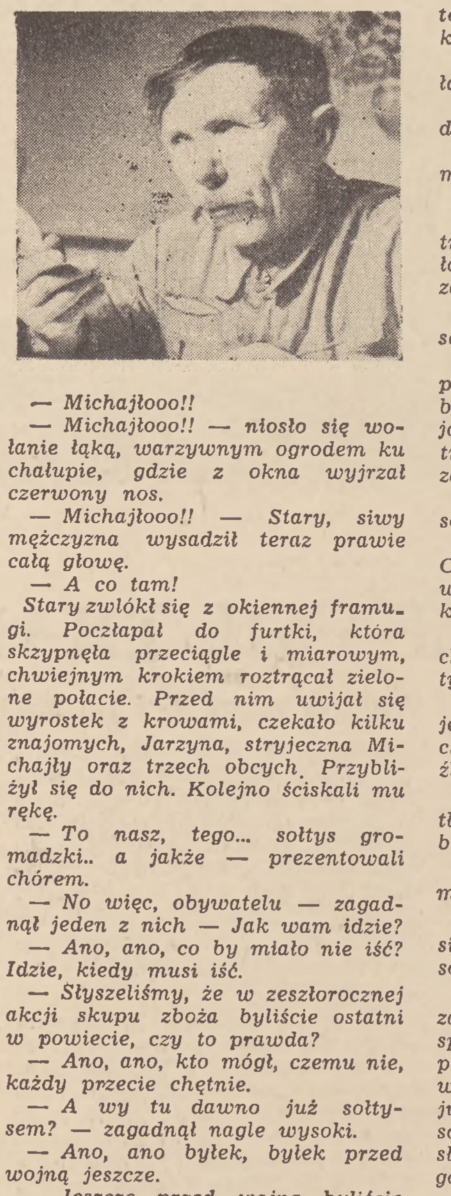
Edward Marzec

*) Fragment powieści, nagrodzonej na konkursie Ministerstwa Kultury i Sztuki.

JAN NAGRĄBIECKI

Z notatnika w terenie

Sołtys w Małych Stołkach



— Michajłooo!!

— Michajłooo!! — niosło się wołanie łąką, warzywnym ogrodem ku chałupie, gdzie z okna wyjrzał czerwony nos.

— Michajłooo!! — Stary, siwy mężczyzna wysadził teraz prawie całą głowę.

— A co tam!

Stary zwlókł się z okiennej framugi. Poczłapał do furtki, która skrzypnęła przeciągle i miarowym, chwiejnym krokiem roztrącał zielone połacie. Przed nim uwijał się wyrostek z krowami, czekało kilku znajomych, Jarzyna, stryjeczna Michajły oraz trzech obcych. Przybliżył się do nich. Kolejno ściskali mu rękę.

— To nasz, tego... sołtys gromadzki.. a jakże — prezentowali chórem.

— No więc, obywatelu — zagadnął jeden z nich — Jak wam idzie?

— Ano, ano, co by miało nie iść? Idzie, kiedy musi iść.

— Słyszeliśmy, że w zeszłorocznej akcji skupu zboża byliście ostatni w powiecie, czy to prawda?

— Ano, ano, kto mógł, czemu nie, każdy przecie chętnie.

— A wy tu dawno już sołtysem? — zagadnął nagle wysoki.

— Ano, ano byłek, byłek przed wojną jeszcze.

— Jeszcze przed wojną byliście sołtysem? — zdziwił się średni.

— Ano, ano, czemu miałek nie być, byłek, byłek...

— A... w czasie okupacji — zapytał chytrze niski.

— A i za Germańców tyż, a jakże, tyż — kiwał głową poważnie żelazny sołtys gromady Małe Stołki.

— No, długo jesteście sołtysem, to zapewne znacie tu wszystkich, jak własną kieszeń?

— Ano lepiej. Lepiej znom. Co ni mom znoć.

— To bardzo dobrze — stwierdził wysoki.

— Chodzi o to, że potrzebujecie paszy, prawda? — Zebrani obywatele Małych Stołków skwapliwie kiwnęli głowami.

— To znaczy, że macie za mało łąk na wasze obecne potrzeby?

— Ano, ano niby tak — potwierdził sołtys.

— Bo widzicie, Rząd Ludowy pomyślał o was.

— O nos, akuratnie?

— A tak. Nasz rząd wie, że potrzebujecie paszy. U was jej za mało, a na Pojezierzu Mazurskim — za dużo.

— Aaaaa!!!! — dziwili się wszyscy na raz.

— I dlatego, powtarzam, Rząd przeznaczył specjalne fundusze, żeby finansować wyjazdy ekip takich jak waszej wsi do tych łąk, gdzie traw za dużo, by ją skosić i paszę zabrać.

— Na wyjazd? — przestraszył się sołtys.

— A tak — roześmiał się wysoki. O, tu z Wólki jedna taka szóstka wyjechała, w Winklach także szukują się do drogi.

— Świetna dla was okazja — zachęcał niski i zacierał dłonie. Sołtys milczał.

— No więc jak, sołtysie, zwerbujecie taką ekipę? — Staruszek pochylił ucho ku mówiącemu, jakby źle słyszał.

— Pochodzicie po ludziach, wytłumaczycie, o co rzecz idzie i dobra?

— My tutaj u was jutro będziemy, potrzebne pieniądze przekażemy.

— Dobrze, czemu nie? — ozwali się obywatele Małych Stołków za sołtysa. — Przyjeżdżajcie!

— Jo tam sołtysowi pomogę — zaofiarowała się stryjeczna. I tak sprawę ubito uderzeniem dłoni przyjezdnych gości w dłonie obywateli miejscowej gromady. Nazajutrz zrobił się ruch na wsi. Tylko sołtys Michajło słuchał, jakby nie słyszał, patrzał jakby nie widząc tego wszystkiego. Codziennie widziano, jak moczył stare, zmęczone nogi w miednicy tuż przed gankiem. Rankiem nie szedł do roboty, czekał na interesantów. A gdy tacy znaleźli się, stękał swoje ano, ano i ręce rozkładał.

— Eeee... — niecierpliwili się ludzie.

— Coś już za stary, ten nasz Michajło. Sołtys, to musi od tamtych, z miasta wiedzieć, co i jak i gromadzie przedkładać. A on nic.

— Eeee! Jaki już tam z niego sołtys. Na emeryturę by go wysłać — śmieli się młodzi.

— Tak. Trzeba nam sołtysa zmienić — potwierdzali starsi. Co uchwalili, to wykonali .



Józef Pucek

Zetor terkocze wzdłuż zboża, ciągnąc snopowiązałkę, która delikatnie skrzydełkami roztrąca kłosy, gdy ostrza żniwiarki tną od spodu, ścieląc i popychając ruchomą płaszczyzną, która unosi się do góry i oddaje trybom. Precyzyjne, zębate koło po przeciwnej stronie wiąże luźne kłosy w snopki sznurkiem, którego dostarcza przez specjalny otwór Irka Karczówna, uczennica drugiej klasy licealnej w Bielsku, spędzająca wakacje przy żniwach. Na polu faluje zboże. Obok na szerokim rżysku stoi równy rząd poustawianych kopców. Przy ostatnim widać pochylone postacie. Niebieską od chustki kupionej na wtorkowym targu Tekli Lubańskiej, białą od bluzki Janki Karczówny i czerwoną od sukienki Wandy Karczówny. Młode dziewczyny prostują się co chwila i znów zginają nad wiązkami snopów. Zetor targa ciszą, klepiąc i warcząc.

Tekla skręca słomę, potem obejmuje ostrożnie przy sobie snopy i opasuje słomianym powrósłem. Janka łamie grzbiet snopka w pasie i nakłada kaptur na wszystkie snopy, rozpościerając słomiane łodygi tak, aby kryły kształt kopca. Nadchodzi Adamaszek, przewodniczący spółdzielni.

— Jak idzie robota?

— Ano sami widzicie.

— Ileście dziś zrobiły?

— Zdaje się pięć hektarów będzie.

— Do południa? To wcale nieźle — bez maszyny to byście nie zrobili ani dwóch hektarów. Stoi przez chwilę, patrząc na zgrabne sylwetki żniwiarek. Potem huczy na traktorzystę:

— Dlaczego z jednego boku bierzecie?

— Inaczej nie można!

— Dlaczego?

— Zboże pochylone. Próbowali my ciąć dookoła. Maszyna nie chwyta. Bierze tylko z jednej strony! — Przewodniczący kiwa głową.

— Ano, grady w tym roku położyły zboże. Szkoda, dookoła byłoby znacznie prędzej! — Powoli odchodzi od żniwa.

— Ej tam, słuchajcie — wołają za nim kobiety.

— A co?

— Dzisiaj sobota. To my robimy tylko do siódmej!

— Ejże dziewuchy! A co tam macie doma robić, że wom tak pilno?

— Żyto musimy dzisiaj na wsi zakończyć. Tak niewiele jeszcze macie — zakreśla łuk dłonią prosząco.

— Nic z tego nie będzie! Dzisiaj sobota, należy nam się z pola zejść wcześniej! — Przewodniczący bezradnie rozkłada ramiona. Bez słowa odchodzi. Jest coraz mniejszy, można go schwytać w garść, jak wróbla, jak muchę. A teraz to i nie widać. Dziewczyny pracują dalej.

— Ej, Karolku! — drze się Tekla,

— Czego tam?

— Zara schodzim z pola, bo sobota. Należy nam się. Zatrzymaj! Odpoczniesz se! I tak dość skoszonego zboża!

Karolek Zemanek przecząco kręci głową:

— Nic z tego nie będzie. Robim do zmroku! Ten kawałek musim zakończyć! POM mnie tu przysłał ciąć do zmroku, to i będę!

Posypały się wyzwiska. A Zemanek nic. Tylko żniwiarką zawraca i zawraca na żyto. Niebo poczyna się ściemniać.

Kiedy zmierzch zapadł, usłyszały serdeczny śmiech Zemanka:

— Dziewuchy, a popatrzcie no, wiele jeszcze zostało? Chciały, nie chciały żyto było zżęte. Zostało im do wiązania jeszcze 2 hektary.

Zemanek terkocząc oddala się na Zetorze. A z mroku wyłania się nagle ciemna postać. To Pucek, członek spółdzielni i górnik z pobliskiej kopalni w Jaszowicach. Pracuje tu i tam. Na zmianę.

— No i jak dziewuchy? — woła z daleka.

Wszystkie śpiesznie uchodzą z pola, by chłopu nie strzeliło co do łba. Pucek żałośnie kiwa głową:

— Ej, wy dziewuchy! Każdej bizuna by po pośladkach! — śmieje się i zawraca z powrotem. Zastają puste pola. Obłoki gnają nisko, białe i ryże od ostatniego błysku zachodu. Pucek z kosą na ramieniu skręca na wiejskie pola. Rozstawia nogi, spluwa w garście i kosą zatacza pierwszy łuk, drugi, trzeci. Chłód biegnie po łąkach od stawów. Z daleka słychać żabi rechot. W Dankowickich, spółdzielczych zabudowaniach ludzie dawno poukładali się do snu. A Pucek siecze zamaszyście i siecze. Kiedy słońce wstało nad łąki, lasy, pola i budynki Pucek wolno schodził z pola.

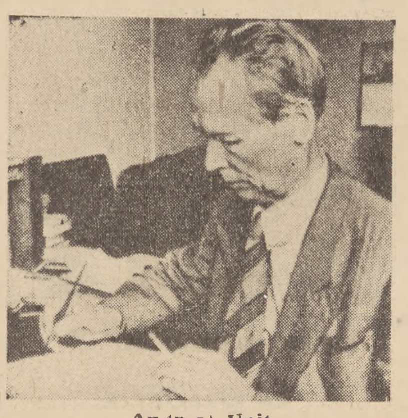
Jak mu teraz dziewczyny spojrzą w oczy?

Jan Nagrabiecki

Literatura narodów radzieckich

ZDZISŁAW WRÓBEL

Andrzej Upit i jego nagrodzona powieść



Andrzej Upit.

LITERATURA łotewska była u nas do niedawna równie nieznana, jak, powiedzmy przykładowo, literatura Venezueli, Madagaskaru czy Filipin. Na próżno szukalibyśmy w naszych bibliotekach datujących się sprzed wojny przekładów z literatury łotewskiej. Inicjatywa prywatnych wydawców, którzy potrafili przedrukowywać nieraz kilkakrotnie pornograficzne czy kryminalistyczne powieścidła, hamowała udostępnienie polskim czytelnikom najcenniejszych dzieł literackich nawet wielkich narodów, a już zupełnie ignorowała mniejsze kraje. To wieloletnie zaniedbanie wyrównuje powoli planowa gospodarka wydawnicza Państwa Ludowego. Widać to choćby na przykładzie literatury łotewskiej. W ubiegłym roku ukazała się powieść Vilis Łacisa „Nawałnica“[1]), a ostatnio powieść **Andrzeja Upita „Zielona Ziemia“**[2]).

Nazwisko Andrzeja Upita wymaga specjalnego omówienia, gdyż jest to niewątpliwie największy współczesny pisarz łotewski, który przez całe ostatnie czterdziestolecie znajduje się w centrum ruchu literackiego Łotwy. Andrzej Upit urodził się w r. 1877 w rodzinie robotnika wiejskiego we wsi Skriwiery. Niezwykle ciężkie warunki, w jakich upłynęło jego dzieciństwo, określiły jego dalszą drogę — drogę walki o zniesienie krzywdy społecznej. Tylko dzięki niezwykłemu uporowi mógł ten samouk awansować z pastucha na nauczyciela i następnie zająć się pracą literacką.

W swoich utworach Upit nawiązywał do realistycznej tradycji ugruntowanej przez wielkiego pisarza łotewskiego J. Rajnica (1865—1929). Wyraźnie realistyczny charakter nosi seria jego znakomitych powieści „Robeźniekowie“. W epopei tej znajdziemy wierny obraz wszystkich klas społecznych i warstw burżuazyjnej Łotwy. Szczególnie wyraziście przedstawione zostało życie chłopów, które Upit znał tak dobrze. Dd pierwszej powieści tej serii „Nowe źródło“ (1909) do szóstej „Stare cienie“ (1934) widać wyraźną ewolucję ideologiczną pisarza. Gdy początkowo możemy zaobserwować dążenia do idealizowania życia chłopów, zacierania różnic klasowych, to w powieściach późniejszych, w miarę zbliżania się Upita do rewolucyjnego ruchu proletariackiego, obraz wsi staje się bardziej realistyczny, kułacy występują w swojej prawdziwej skórze wyzyskiwaczy, a nędza i poniżenie biedoty rodzi bunt przeciw ustrojowi wyzysku. Niektóre powieści Upita skierowane są bezpośrednio przeciw burżuazji, jak „Złoto“, „Kobieta“, inne potępiają wojnę imperialistyczną („Pod gromami“), jeszcze inne bronią niezawisłości narodowej przed niemiecką agresją („Pod żelazną piętą‘). Andrzej Upit ceniony jest także jako utalentowany dramaturg, wnikliwy krytyk i historyk literatury. W pracach z tej dziedziny, spośród których najbardziej znane są z okresu przedwojennego „Studia i krytyki“ (1910—1911), „Sztuka proletariacka“ (1920), „Historia najnowszej literatury łotewskiej“ (1911—1921), opiera się na metodzie marksistowskiej.

Po faszyzacji Łotwy w r. 1934 postępowy pisarz był prześladowany i zmuszony do pisania pod przybranym nazwiskiem. Dopiero wejście Łotwy do rodziny narodów radzieckich umożliwiło swobodny rozwój jego twórczości. Upit zajął się organizacją życia literackiego w swoim kraju, był jednym z kierowników Związku Pisarzy Łotewskich. Najazd hitlerowski przerwał tę pracę. Upit opuszcza Łotwę i udaje się w głąb Związku Radzieckiego. Tu pisze poważne studium „Historia powieści“, tragedie, „Spartakus“ i najlepszą swoją powieść pt. „Zielona ziemia“, za którą otrzymał nagrodę stalinowską.

W latach powojennych, pomimo sędziwego wieku, Andrzej Upit pracuje bardzo wydatnie. Pisze artykuły krytyczne, recenzje, prace teoretyczne, wśród których na szczególną uwagę zasługuje „Estetyka realizmu socjalistycznego“ i „Zasady realizmu socjalistycznego w literaturze“. W ostatnim okresie, w czasie zaostrzenia sytuacji międzynarodowej i wzrastania wojennej nagonki imperialistów amerykańskich, wielki pisarz - humanista, który już w młodości piętnował wojnę imperialistyczną, a w okresie walki z najazdem hitlerowskim w licznych opowiadaniach odkrywał prawdziwe, zwierzęce oblicze faszyzmu, teraz w artykułach publicystycznych demaskuje drapieżcy sens polityki międzynarodowej imperialistów, cyniczny i oszukańczy charakter ich górnolotnych i pustych manifestów o kulturze i cywilizacji. W tym roku Upit zamierza ukończyć powieść „Przedświt“ o pierwszych przebłyskach klasowej świadomości łotewskiego proletariatu w latach 90-tych ubiegłego wieku.

Udostępniona polskim czytelnikom powieść „Zielona ziemia“ jest ze wszechmiar znamienna zarówno dla metody artystycznej, jak i dla postawy ideologicznej pisarza. Daje on w niej obraz życia wsi łotewskiej końca ubiegłego stulecia. Obszarnicy — Niemcy, pobierający z roku na na rok coraz to większą tenutę dzierżawną, kułacy żyjący z wyzysku służby, czynszownicy pędzący nędzny żywot z łaski pana, fornale i dziewczyny, których cały dorobek mieści się w podartej chustce — oto bohaterowie powieści. Jan Waneg, pan na Brywinach jest typowym okazem wyzyskiwacza, który wraz ze swoją rodziną czuje się powołany do rządzenia nie tylko swym majątkiem, swoją służbą, ale całą wsią. Z pogardą odnosi się do biedaków, choć czasami okazuje im swoją „wspaniałomyślność“, rzucając psie ochłapy z pańskiego stołu, by jeszcze bardziej wykorzystać ich pracę. Nieludzki wobec służby, okrutny wobec przeciwników, nie ma nawet litości dla własnego, chorego ojca.

Nędzne i pełne poniżenia jest życie czynszowników i dzierżawców obarczonych licznymi rodzinami, ciężką pracą i nienawidzących swych gospodarzy. Nędza i marzenie o kawałku ziemi i chociażby ciasnej, lecz własnej izbie skłania czynszownicę Osichową do ożenienia syna Andrzeja z obłąkaną Almą posiadającą jaki taki majątek.

Głęboką przepaść klasową dzielącą bogatych od biedoty akcentuje pastor Arp, wierny sługa klas posiadających. Dzieci kułaków, chociaż tępe i głupie, otrzymują przy egzaminie nagrodę w postaci książki z obrazkami, podczas gdy dzieci biedaków, zdolne i pilne, obdarza pastor przezwiskami i rózgą. Ogniem piekielnym i siarką grozi ksiądz Arp z ambony tym, którzy usiłują naruszyć uświęcony porządek. Szukającą u niego rady i otuchy, piękną i dobrą Lenę Berzin popycha w brud i nędzne życie z kolonistą, Niemcem Szwechamurem. Rady księdza doprowadziły ją do tego, że przybita moralnie, skrwawiona od razów męża, zmienia się w oschłą, ordynarną kobietę, która nie potrafi już wyrwać się z otaczającego ją bagna. Brak jej było tej siły wewnętrznej, cechującej Annę Osich, która wraz ze swym pogardzonym nieślubnym dzieckiem wywędrowała do Rygi, by tam z bratem Andrzejem, także nie mogącym znieść nędznego bytu w rodzinnej wsi, rozpocząć nowe życie. Jako robotnicy fabryczni stykają się oni z ruchem proletariackim, poznają wartość swej własnej pracy, zaczynają rozumieć siłę, która tkwi w masach pracujących. Powoli budzi się w nich świadomość klasowa. Wierzą, że Ryga panoszących się bogaczy i Niemców zmieni swe oblicze, że syreny fabryczne przestaną być sygnałem wzywającym do niewolniczej pracy dla kapitalistów, a będą radosnym hasłem ludzi wolnych.

O dojrzałości i wnikliwości pisarza świadczy wielka ilość i różnorodność poruszanych problemów i konfliktów, typowych nie tylko dla wsi łotewskiej, ale w ogóle dla wsi na tym historycznym etapie rozwoju. Znajdziemy w powieści także wiele zagadnień jak gdyby żywcem wziętych z życia naszej wsi. Czyni to książkę Upita szczególnie ciekawą dla polskiego czytelnika, tym bardziej, że żywość akcji, ekspresja obrazów, prawdziwość postaci przykuwają naszą uwagę od pierwszej do ostatniej strony.

Zdzisław Wróbel

[1]) *Por. recenzja A. Bartoszewicza w nr 10 „Wsi“ z 1951 r.*

[2]) *Andrzej Upit, „Zielona Ziemia“, „Książka i Wiedza“, 1950, str. 713, przełożył W. Old.*

LEONARD WALLICHT

Na Białorusi

Cóż to jest ta nasza Białoruś? Są to zachodnie kresy Rosji. Zachodni kraniec Rosji i nic więcej. Z czego słynie? Z niczego! Chyba tylko z nieprzebytych bagien i z choroby zwanej kołtunem... Toteż z niechęcią, a czasem i ze wstydem odwracamy się od tego, co rodzime... Każdy naród ma swoją narodową dumę. A my dotychczas nawet nie przyznajemy się, że jesteśmy Białorusinami. Na głowę naszą każdy, kto chciał, wylewał pomyje, wyśmiewano nasz język, nasze obyczaje, kulturę...“ Takie zdanie o swojej ojczyźnie wypowiada Łobanowicz, główny bohater powieści *Jakuba Kołasa (Konstantyna Mickiewicza) p. t. „W poleskiej głuszy“.*)* Akcja utworu toczy się w carskiej Rosji bezpośrednio przed rokiem 1905. Pisząc o kapitalistycznym państwie miał Kołas pełne prawo włożyć takie oskarżenie w usta bohatera swej powieści. Imperialistyczny rząd carski stosował względem małych narodów politykę tzw. „asymilacji“: sztucznie hamował ich rozwój kulturalny, uciskał i starał się wyniszczyć fizycznie. Olbrzymią większość przedrewolucyjnej Białorusi stanowili analfabeci, gnębieni przez carskich urzędników i właścicieli ziemskich. Rewolucja Październikowa gruntownie ten stan zmieniła. Narody w kapitalistycznej Rosji uciskane, o których istnieniu niejednokrotnie nikt przedtem nie wiedział, uzyskały teraz możność swobodnego i wszechstronnego rozwoju. W republikach Związku Radzieckiego powstała bogata i różnorodna literatura tych narodów. Dlatego dobrze się stało, że spółdzielnia wydawnicza „Książka i Wiedza“ wydała w serii „Literatura Narodów Związku Radzieckiego“ dwie (w jednym tomie) powieści pisarza, który zapoczątkował białoruską prozę „W poleskiej głuszy“ i „Trzęsawisko“.

„W poleskiej głuszy“, powieść niewątpliwie w znacznej mierze oparta na materiale autobiograficznym, napisana została w latach dwudziestych. Tematem jej jest praca inteligenta — nauczyciela wiejskiego, Andrzeja Łobanowicza, nad poprawą położenia chłopstwa poleskiego. Łobanowicz, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego, pełen zapału i miłości do ludu, przybywa na wieś (do Telszyna, później do Wygonów), by szczerze pracować nad wyciągnięciem chłopów z wiekowego zacofania. Wkrótce jednak przekonuje się o bezcelowości swoich wysiłków. Łobanowicz mimo starań nie potrafi nawiązać szczerego i bliskiego kontaktu z ludem. Na organizowanych przez siebie pogawędkach nauczyciel przemawia pięknie, z natchnieniem opowiada chłopom o tym, że każdy człowiek dąży do tego, by życie swoje uczynić lepszym i równocześnie przynieść pożytek innym, ale w romantycznym uniesieniu nie dostrzega antagonizmów klasowych, klasowego wyzysku, nie widzi istotnych przyczyn nędzy i ciemnoty ludu. Dlatego też Łobanowicz nie potrafi chłopom wskazać realnych sposobów polepszenia ich bytu i dlatego jego słowa nie znajdują zrozumienia. Pod wpływem tych rozczarowań, Łobanowicza ogarnia pesymizm: myśli o obłudzie świata, o śmierci. Zbliżają się jednak wypadki r. 1905. Nielegalna literatura uczy młodego nauczyciela słusznego rozumienia otaczającej go rzeczywistości. Łobanowicz poznaje właściwe miejsce bojownika o wyzwolenie ludu: nawiązuje łączność z pińskimi socjal - demokratami. Pesymizm go opuszcza. Powieść kończy się aresztowaniem Łobanowicza, już po zdławieniu rewolucji, za zredagowanie petycji do Skirmunta, domagającej się zwrotu bezprawnie przez obszarnika użytkowanych chłopskich terenów rybnych. Tak przedstawia się w wielkim skrócie droga Łobanowicza od marzycielskich i mglistych prób poprawy losu chłopów do świadomej działalności rewolucyjnej.

Czy jednak czytelnik kończy lekturę w przekonaniu, że Łobanowicz stał się prawdziwym rewolucjonistą? Łobanowicz nauczył się słusznej analizy otaczających go zjawisk z nielegalnej literatury, nie zdobył jej wśród doświadczeń walki klasowej. Ta książkowa wiedza nie mogła „przerobić“ inteligenta i natchnionego marzyciela w płomiennego bojownika o wolność ludu, jakim w założeniu autora ma być Łobanowicz. W nauczycielu musiały pozostać resztki dawnego inteligencko - „romantycznego“ światopoglądu i takiej samej metody polepszenia doli chłopa. Czym jest na przykład dla Łobanowicza aresztowanie? Niezwykle pociągającym wydarzeniem, którego nie może się doczekać. Łobanowicz pragnie być uwięziony, ponieważ więzienie posiada dla niego urok losu bojownika o wolność i prawdę. „Od tego trzeba było zacząć“ — mówi dumnie, kiedy wreszcie policja go aresztuje. O inteligenckiej bojaźni przed naprawdę rewolucyjnym czynem, o inteligenckim stosowaniu półśrodków i kompromisów świadczy wspomniany już wypadek ze Skirmuntem. Chłopi podczas rewolucji postanawiają siłą odebrać swą własność. Przed atakiem na majątek Skirmunta wstrzymał ich Łobanowicz i motywując to przezornością, namówił chłopów do wysłania petycji z żądaniami. U podłoża takiego postępowania tkwi niewiara w pomyślność rewolucji, a przecież wypadek ze Skirmuntem miał miejsce w chwili, gdy wszystko przemawiało za zwycięstwem proletariatu. Trzeba więc stwierdzić, że pełne zobrazowanie Łobanowicza jako rewolucjonisty autorowi się nie udało. Mimo widocznych wysiłków Kołasa, Łobanowicz pozostaje „roman-



tykiem“ i „inteligentem“, który w pewnych momentach sprawia wrażenie, jakby bawił się „w rewolucję“, który, gdy ruch chłopski przybiera radykalniejsze formy — cofa się.

Czy utwór Kołasa daje pełny, wyczerpujący obraz ówczesnej rzeczywistości poleskiej? Powieść bardzo plastycznie ukazuje środowisko inteligencji wiejskiej i małomiasteczkowej. Kołas kreśli tu dużo niezapomnianych typów jak: nauczyciele Sochaniuk, Tursiewicz i Szeroki, ojciec Cyryl, psalmista Bocianowski, redaktor Buchberg. Jest to środowisko tępych karierowiczów, wyzyskiwaczy, pijaków, karciarzy czy jak redaktor, ludzi śmiesznych, opętanych jakąś „idée fixe“, albo jak Tursiewicz, ludzi podobnych do Łobanowicza: samotnych marzycieli. Ale o ile barwnie i i prawdziwie zostało przedstawione środowisko inteligencji, o tyle blado i mało wyraziście ukazał autor w swej powieści lud wiejski. Lud ten występuje w powieści, niemal aż do jej końca, jako dokładniej nieokreślona masa. Jeżeli w kilku miejscach Kołas bliżej ukazuje życie wsi, to czyni to od jego jakby „egzotycznej“ strony (np. spór chłopów o święto, historia przyjęcia prosfory przez Bucza, postać wujka Jesupa). Natomiast prawie niczego nie dowiadujemy się o rzeczywistych sprawach wsi, wynikających z istnienia podziału klasowego. Interesy klasowe ludu zostały przez autora zatarte. Jak słusznie podkreślono w posłowiu, w powieści nie ma echa buntów chłopskich, które w przeddzień roku 1905 miały miejsce na Polesiu. Jedyną postacią klasowo uświadomioną jest Aksen Kal.

Wartość powieści tkwi w samym temacie: ukazaniu wysiłków jednostki, zmierzającej do wydobycia ludu z ciemnoty i zacofania. Praca Łobanowicza, płynąca ze szczerej chęci polepszenia doli ludu, budzi w czytelniku sympatię i stanowi o pozytywnej ocenie utworu, mimo, że nie wszystkie czyny nauczyciela są artystycznie umotywowane, a i sama jego postać wywołuje pod koniec książki zastrzeżenia. Powieść dostarcza także bogatego materiału poznawczego do życia Polesia sprzed kilkudziesięciu laty. Materiał ten dotyczy jednak raczej obyczajowości tego kraju.

Druga powieść Kołasa zamieszczona w omawianym tomie p. t. „Trzęsawisko“ jest utworem ideologicznie znacznie dojrzalszym. „Trzęsawisko“ opowiada o czasach wojny interwencyjnej, kiedy na młode republiki Związku Radzieckiego napadły obce państwa, by zniszczyć plon Rewolucji Październikowej. Powieść ukazuje zaciętą walkę ludu poleskiego z legionami Piłsudskiego. Osią konstrukcyjną utworu są partyzanckie losy dziadka Tałasza. Dziadek znalazł się w partyzanckim oddziale raczej przypadkowo. Zaprowadziła go tam chęć zemsty na wrogu za osobiste krzywdy. Później jednak pod wpływem niestrudzonego rewolucjonisty, bolszewika „Niewidzialnego“, dziadek właściwie zrozumiał swoje miejsce wśród walczących patriotów białoruskich i stał się dzielnym i umiejętnym dowódcą partyzanckiego oddziału, nieustraszonym bojownikiem o wyzwolenie ludu. Dziadek Tałasz wydatnie pomagał Armi Czerwonej i doczekał się dnia, w którym oswobodziła ona jego wieś rodzinną. W przeciwieństwie do obrazu z pierwszej powieści, lud przedstawiony w „Trzęsawisku“ odznacza się dużą świadomością klasową. Partyzanci są świadomymi rewolucjonistami, wiedzą o co walczą, a w nieprzyjacielskiej armii potrafią odróżnić klasowego towarzysza od prawdziwego wroga. „Trzęsawisko“ zawiera także znacznie więcej prawdy historycznej niż „W poleskiej głuszy“. Ostro przeprowadzony podział klasowy, postaci świadomych bojowników o wolność ludu, ukazanie odrażających postępków okupantów — oto ideowe zalety „Trzęsawiska“. Są oczywiście również i wady. Niedostatecznie pogłębione konflikty, brak kompozycyjnej zwartości (przejawiający się również i w pierwszej powieści) — świadczą o pewnych niedociągnięciach metody artystycznej pisarza.

Książka Kołasa, klasyka prozy białoruskiej, ukazująca życie i walkę bratniego narodu, stanowi cenną pozycję wydawniczą w naszej literaturze tłumaczonej i zdobędzie napewno liczne rzesze polskich czytelników.

Leonard Wallicht

* *Jakub Kolas: „W poleskiej głuszy“, przełożył Stanisław Furmanik. „Trzęsawisko“, przełożyła Zofia Rysińska. Książka i Wiedza. 1950 r., str. 506.*

W świetle krytyki radzieckiej

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Powieść krajów demokracji ludowej

W Nr 86 „Lietieraturnoj gaziety“ T. Motylewa w artykule pt. „Rysy nowego bohatera“ omawia stan młodego, wkraczającego na drogę realizmu socjalistycznego powieściopisarstwa w krajach demokracji ludowej. Na wstępie krytyk radziecki stwierdza, że jedynie wolność, jedynie budowa nowego socjalistycznego ustroju stworzyć mogły literaturę, dla której socjalizm, to już nie marzenie o dalekiej przyszłości, ale uchwytna i realna rzeczywistość. W związku z tym pisarze podpatrują i wprowadzają na karty swych książek przedstawiciela tej nowej rzeczywistości — budowniczego socjalizmu.

„Obraz bojownika-patrioty, czołowego, społecznego działacza — pisze T. Motylewa — otrzymuje w literaturze krajów demokracji ludowej rysy gospodarcze twórcy socjalistycznych stosunków w życiu. Nowy bohater kształtuje się i rośnie w trakcie procesu budownictwa w zaciętej walce w resztkami wyzyskujących klas. Ten bohater nie tylko trudzi się w imię socjalizmu, ale też widzi owoce swojej pracy“.

Kto jest tym bohaterem? Albo przodownik, członek brygady szturmowej ,który inicjuje lepsze metody pracy, zwycięski współzawodnik jak np. Maksymow, bohater powieści bułgarskiego pisarza S. Daskałowa pt. „Odznaczony orderem“. Albo przywódca zespołu produkcyjnego, który wyszedł ze środowiska robotniczego, jak np. Janosz Dunaj ze sztuki węgierskiej pisarki E. Mandi „Bohaterowie dnia powszedniego“. Albo szeregowy - proletariusz, któremu nowy ustrój po raz pierwszy pozwala przejawiać twórczą inicjatywę, i własne zdolności, jak np. stary Karhan ze sztuki czeskiego pisarza W. Kani pt. „Brygada szlifierza Karhana“.

Obrazy tych bohaterów zawierają cząstkę nowego życia, które narodziło się w krajach demokracji ludowej — nowego stosunku do pracy. T. Motylewa przypomina powiedzenie Lenina na temat nowego stosunku do pracy w okresie socjalizmu. Jest to praca „użyteczna dla całego społeczeństwa, podjęta nie dla spełnienia określonego obowiązku, ale w celu otrzymania prawa na określone produkty, nie przeprowadzana wedle zawczasu ustanowionych i określonych przez prawo norm, ale praca dobrowolna, praca poza normą...“

Bohaterowie literatury krajów demokracji ludowej, to już są ludzie patrzący daleko w przyszłość, natchnieni wielkim przykładem radzieckich narodów, które już zbudowały u siebie socjalizm. Przykład Związku Radzieckiego, wzory literatury radzieckiej czynią, że pisarze uczą się odnajdywać „romantyzm szlachetnych ludzkich uczuć i szlachetnych czynów w realnym życiu, w wyczynach pracy dokonywanych przez cały naród.“

Socjalistyczna przebudowa życia pociąga za sobą proces przekształcania się świadomości ludzi w skali masowej. Ludzie zmieniają się w sensie politycznym, ideowo-moralnym i kulturalnym. Literatura pokazuje powstawanie nowego bohatera, ujawnia proces wzrastania nowego w człowieku. Lenin uczył, ze socjalistyczne społeczeństwo można i powinno się budować „z masowego ludzkiego materiału, zepsutego przez wieki i tysiąclecia niewolnictwa..“ Lenin tłumaczył, że właśnie na przykładzie, w doświadczeniach socjalistycznego budownictwa ulegają zmianie obyczaje, charaktery i przyzwyczajenia codzienne.

Pisarze krajów demokracji ludowej — podkreśla z uznaniem T. Motylewa — ukazują warunki, w jakich zachodzą zmiany w ludziach. Każdy z pozytywnych bohaterów przedstawiony został w procesie rozwoju, w walce z klasowym wrogiem i przeżytkiem przeszłości. Jednocześnie przemiana, dorastanie do rangi bohatera odbywa się w otoczeniu ludzi innych, których przykład dany agituje, przeobraża, prowadzi ku lepszemu. W ten sposób rośnie bohater i rośnie stwarzająca bohatera społeczność.

Sukces pisarza stanowi zarazem sukces wychowania nowego społeczeństwa. Przykład pozytywnego bohatera, który sam rośnie i doskonali się w walce z wrogiem klasowym i przeżytkami przeszłości, oddziaływuje wychowawczo na czytelników. Stworzone przez pisarzy obrazy budowniczych nowego życia, społecznych działaczy, przodowników pracy stanowią wychowawcze przykłady dla milionów ludzi pracujących. Im bardziej wymowne są te postacie, im bardziej nasycone prawdą życia i stworzone z talentem, tym silniej oddziaływują.

„Opanowanie współczesnej tematyki, stworzenie szeregu postaci, uosabiających bohaterstwo wyzwolonej pracy — pisze T. Motylewa — to duże twórcze zwycięstwo przodujących literackich sił w krajach demokracji ludowej. Ale niepodobna przemilczeć twórcze trudności, na które natykają liczni pisarze opracowujący nowy złożony materiał życia.“

T. Motylewa dla przykładu przeprowadza rozbiór zalet i wad powieści A. Ścibora-Rylskiego „Węgiel“. „Jest to — mówi krytyk radziecki — jeden z najciekawszych utworów młodej, polskiej prozy na temat budownictwa socjalistycznego. Właśnie dlatego trzeba mówić otwarcie nie tylko o mocnych, ale i o słabych stronach tej książki.“

Bohater Jan Migoń, górnik wysunięty na stanowisko wice-dyrektora kopalni „Anna Weronika“ wyraża „patos socjalistycznego budownictwa“. Charakter Migonia zawiera rysy nowego człowieka w Polsce i wypowiada się w jego czynach, które charakteryzuje wielka czystość moralna i bezinteresowność, wysokie poczucie odpowiedzialności przed krajem za swą pracę.

„Zalety Migonia jako kierowniczego członka społeczeństwa o nowym typie wyraźnie występują na jaw w chwilach starcia z przedstawicielami starego konserwatywnego i obcego dla ludu środowiska inżynierów. Gdy naczelny inżynier Prosty uznaje za słuszną jedynie metodę pokrzykiwania i całkowitej pańskiej pogardy wobec górników, to Migoń odnosi się do nich w sposób koleżeński. Przysłuchuje się krytyce górników, chce podtrzymać ich twórczą inicjatywę. Jednocześnie w przeciwieństwie do dyrektora kopalni Zabielskiego, człowieka bez kręgosłupa, który pobłaża bumelantom, Migoń przejawia nieubłaganą surowość w wypadkach dezorganizacji produkcji. W stosunkach z górnikami Migoń występuje jako surowy zwierzchnik i czujny wychowawca: podtrzymuje przodujących ludzi, pomaga odzyskać właściwą postawę górnikom chwiejnym, odsuwa od kopalni tych, którzy szkodzą sprawie.“

T. Motylewa widzi w postaci Migonia trafnie uchwyconą typowość i cechę najważniejszą: wyrastanie robotnika na kierownika produkcji, wyrastanie poprzez walkę klasową, przez pokonywanie przeszkód i trudności.

„Ale słabym miejscem powieści jest zobrazowanie osobistego życia niektórych występujących bohaterów, a w pierwszym rzędzie samego Migonia.“

„Miejscami powieści pisarz pragnąc widocznie jak najsilniej podkreślić potworność ginącego słabego świata, starego życia daje w opowieści natłok ordynarnych naturalistycznych epizodów. Odpychającymi cechami obdarza częściowo żonę Migonia — amoralną, wulgarną mieszczankę, która zdradza męża i tyranizuje dziecko. Przy tym autor tak chciał, że Migoń całkowicie pochłonięty swoją pracą, długi czas po prostu nie zwraca uwagi na to, co dzieje się w jego domu“.

„Oczywiście, nikt nie oczekuje od artysty, żeby ten koniecznie przedstawiał czołowego przedstawiciela społeczeństwa, jako skończony wzór wszelakich zalet. Walka starego i nowego odbywa się nie tylko w społecznym życiu, ale i w życiu codziennym, również w psychice ludzi. Pisarz ma obowiązek prawdziwie odtwarzać tę walkę, żeby pomóc w przezwyciężeniu przeżytków przeszłości. W danym wypadku autorowi to się nie zupełnie udało. Czytelnik w rezultacie nie wie, jak rozstrzygnięty został rodzinny konflikt Migonia. Pozostaje wrażenie, że w charakterystyce Migonia jakoś nie wszystko jest doprowadzone do końca. Czytelnik nie chce uwierzyć, żeby człowiek pełen zasad i wymagający w pracy był tak krótkowzroczny i niezaradny w prywatnym życiu.

Najlepsze cechy Migonia przejawiają się w jego pracy, w kierowaniu kopalnią. Ale duchowe oblicze Migonia mimo to zostało oddane w sposób niepełny, jest zubożone. Wewnętrzny świat, myśli i uczucia nie pokazane głęboko. Ale podobne drobne rysy — zamykanie się w sobie, chmurną surowość — odnajdujemy też u Boczara (bohatera powieści E. Pytlakowskiego „Fundamenty“) i u Goryczana (bohatera powieści M. Kowalewskiego „Kampania znaczy walka“). Pewien rys oschłości, dążności do ascetyzmu cechuje też Maksyma Maksymowa, bohatera powieści S. Daskałowa „Odznaczony orderem“. Czy autorzy wyżej wymienionych książek uważają, że bohater pracy, działacz społeczny, koniecznie musi być ascetą, dla którego obca jest umiejętność radosnego życia, ludzkie ciepłe uczucia?

Krytyk radziecki podkreśla, że pisarze krajów demokracji ludowej opanowali sztukę zobrazowania kolektywu, ale nie umieją w równym stopniu przedstawić pojedyńczego bohatera. Ludzie występujący w książkach czy to A. Biernaszkowej (czeskiej pisarki), czy E. Mandi (Bohaterowie dnia powszedniego), czy K. Karasłowowa (bułgarskiego pisarza). czy wreszcie sam Migoń. bohater „Węgla“ A. Ścibora-Rylskiego, są za mało zindywidualizowani. A przecież w utworach cechy typowe wypowiadają się najlepiej przez zobrazowanie cech indywidualnych.

Przezwyciężenie tych wad nastąpi w nawiązaniu do rodzimej literatury klasycznej i za przykładem przodującej beletrystyki radzieckiej.

Grzegorz Timofiejew

WOJCIECH SMUŁA

Najcenniejszy kapitał — człowiek



Kiedy na długi stół wjechały dzbany z czarną kawą i czerstwy chleb — Bartolik nie wytrzymał i głośno zauważył:

— A oni wciąż to samo: na obiad niesolona zupa i lichy gularzyk, na śniadanie i kolację niesłodzona kawa i suchy chleb. Tam do diabła! — zaklął — jestem głodny...

Wszyscy pokiwali znacząco głowami i obejrzeli się do tyłu, skąd zbliżał się w lansadach zawsze rozpromieniony uśmiechem kierownik stołówki Matyś.

— Smacznego koledzy! — wołał już z daleka. — Mam wam do zakomunikowania miłą niespodziankę...

Bartolik wzruszył ramionami i zły na cały świat utkwił nos w kubku, pociągając małymi łyczkami gorzki napój.

— Taki on słodki, jak ta kawa... — powiedział głośno, ale Matyś udał, że nie słyszy i wdrapał się ze spokojem na stół. Stojąc tam na górze rozejrzał się szeroko i nagle wypalił głosem trybuna:

— A więc słuchajcie, moi kochani! Ja, kierownik tej stołówki, przy czynnym współudziale całego personelu w osobach kucharki ob. Wojtysiak i pomocnicy kuchennej ob. Dobieralskiej prowadzimy, jak zdążyliście już zapewne zauważyć, rzetelną kalkulację, która umożliwia nam dokonywanie systematycznych oszczędności. I tak w ub. mies. koszty utrzymania dziennego zamiast 3.60 gr na osobę — wyniosły zaledwie 3.09 gr. Jeśli przyjąć, że jest was tutaj w PGR Krąpiel 110 robotników sezonowych — to oszczędności te, dzięki naszej inwencji (wyraz „inwencja" ob. Matyś powtórzył dwukrotnie), są dużym krokiem naprzód... tu kierownik stołówki wyczekał chwilę, spodziewając się rzęsistych braw, ale zamiast oklasków usłyszał znowu głos Bartolika:

— Dużym krokiem, ale gdzie, panie Matyś?

— Jakto gdzie? — stropił się kierownik.

— Ano tak — ciągnął Bartolik, — bo komu potrzebna jest ta „oszczędność" niczego nikomu nie dająca? Komu?

Kierownik Matyś czerwony jak piwonia zeskoczył ze stołu i odparował:

— Jakto komu? Nam...

— Nam? — zdziwił się Bartolik. — Ja jestem przodownik pracy, wykonuję średnio na żniwiarce 140% normy, a jem w tej waszej stołówce za pół chłopa. Co mi daje ta o s z c z ę d n o ś ć? Nic, panie Matyś! Całkiem nic!

* * *

Opisane wypadki w PGR Krąpiel są autentyczne. I dotykają bynajmniej nie bagatelnej sprawy. Oto niedawno temu pisał w „Chłopskiej Drodze" syn fornala Piotr Gierczak z Pneuszyna pow. opatowskiego na temat warunków życia robotników folwarcznych w Polsce sanacyjnej. „Matka nie mogąc patrzeć na nasze głodne gęby odejmowała sobie od ust ostatni kąsek chleba. Sama szła wycieńczona na posługi do „jaśnie pana".

Gierczak jest dziś przodownikiem pracy w spółdzielni produkcyjnej. Za ofiarną pracę ma zapewnione odpowiednie warunki życia. Gorzej — jak się okazuje — z Bartolikiem i innymi przodownikami pracy w PGR Krąpiel.

Człowiek jest najcenniejszym kapitałem Polski Ludowej. On je wznosi, przekształca, buduje rzeczowe warunki na rozwój socjalizmu. Troska o jak najlepsze warunki pracy, nierozłącznie związana z produkcyjnością człowieka obowiązuje wszystkie instytucje służby społecznej.

Podejrzewamy, że Matysiów jest w Polsce więcej, zwracamy uwagę na ich szkodliwą działalność.

Wojciech Smuła

PIOTR PIGWA

Rozwinąć żagle

Myślę, że każdy kto wjeżdża do obozu Akademickiego Zrzeszenia Sportowego w Mikołajkach, leżących na ziemi mazurskiej — powinien zwrócić szczególną uwagę na... szlaban strzegący wejścia. Ten kawałek belki umieszczony w poprzek drogi ma tu symboliczną wymowę. Przyjeżdżającego urzeknie najpierw czar mazurskiej przyrody, wiatr dmiący w żagle łodzi, będzie grał zapamiętale w siatkówkę, szczypiorniaka i koszykówkę, kąpał się, włóczył kajakiem po pięknym jeziorze, jadł za dwóch i tańczył wieczorami. Dopiero po kilku dniach, gdy oprzytomnieje — przypomni sobie o szlabanie.

Jeżeli uczeni fizycy nie odkryją w tym roku absolutnej próżni w jakiej żyją sportowcy z AZS-u na obozie w Mikołajkach, to w przyszłym roku stracą zapewne tę jedyną w historii szansę. Odkrycia dokonać powinni, ponieważ takie oderwanie od terenu, tak gruntowną izolację społeczną wartoby odnotować w poważniejszej niż nasza kronice.

Poza wspomniany szlaban nie wydostała się z obozu ani jedna ekipa agitatorów, a wokół trzeba zakładać koła sportowe. Młodzież wiejska ma tam o sporcie takie pojęcie ,jak przysłowiowa kura o pieprzu. Jesteśmy wyrozumiali, nie żądamy nawet od AZS-iaków działalności ściśle i bezpośrednio politycznej, niech propagują przynajmniej konieczność rozwoju kultury i tężyzny fizycznej. Ale jak dotąd — nic z tego.

A w obozie, jego życie wewnętrzne? No cóż, akademicy w piłkę grają, uczą się pilnie żeglarki — to trzeba im przyznać. Dobrze także robią nie zapraszając nikogo z okolicy na swoje wieczory świetlicowe. Chociaż niektóre numery programu bywają interesujące i dobrze wykonane to — całości daleko do rewolucyjnego, bojowego ducha współczesnych robotniczo - chłopskich akademików. A już słowo wiążące straszy wprost przeszłością, często żywcem zaczerpnięte z mieszczańskiej rewietki. Ja za wodą — ty za wodą, jakże ja ci rączkę podam — śpiewają młodzi sportowcy.



Mają łodzie, żagle i wiatr, a nie mogą podać ręki swoim współkolegom z obozu społeczno-wypoczynkowego, rozłożonego po drugiej stronie jeziora. A przydało by się, bo tu robota społeczna idzie na całego.

Wyjeżdżają regularnie ekipy robocze do PGR-u w Woźnicach, pracują przy pieleniu buraków, zwożą trawę, pomagają przy sprzęcie z pól. Rewolucyjność młodzieży z tego obozu łamie przeszkody w pracy społeczno-politycznej. Powiedziano młodym aktywistom w Zarządzie Powiatowym ZMP w Mrągowie, żeby po wsiach nie jeździli, bo ich psami chłopi poszczują. Nic takiego się nie stało. W Prawdowie założyli koło gospodyń. A psy merdały przyjaźnie ogonami. Sekretarz partii dostał po skórze za opieszałość, oberwała też i Miejska Rada Narodowa w Mikołajkach, w której zawsze psuły się telefony akurat wtedy, gdy trzeba było zawiadamiać ludność o odczycie politycznym kogoś z akademickiego aktywu.

Na uruchomienie i wyposażenie obozów wypoczynkowych wykłada nasze państwo ludowe olbrzymie fundusze spodziewając się słusznie, że młodzież akademicka nie tylko wypocznie lecz równocześnie zdynamizuje ospałe życie społeczne zdarzających się jeszcze tu i ówdzie — na zapadłych partykularzach.

Ej koledzy-osportowcy z Mikołajek! Nie wolno płynąć pod prąd, zwłaszcza jeżeli jest to prąd dziejowych przemian.

Piotr Pigwa

TADEUSZ SŁUPECKI

Do satyryków

Starsze pokolenie satyryków polskich czuje się na ogół świetnie raczej w „folklorze" miejskim. Woli po prostu nicować po raz setny z kolei przenicowaną już 99 razy kukłę nieszczęsnego biurokraty „miejskiego" oraz typów pokrewnych w ich 99 odmianach, niż raz solidnie dobrać się do skóry bardziej krwistego i nawet jako temat satyryczny bardziej interesującego kułaka, czy innego wiejskiego szkodnika.

„Wieś" posiada jednak przysłowiową chłopską naturę — jest uparta. I dlatego stale będzie zwracać uwagę „miejskich" satyryków na tematy wiejskie. Zresztą — o tym również pisano już wielokrotnie — takiej satyry domaga się także inna wieś. Ta składająca się z mas pracującego chłopstwa, które w ciężkiej walce klasowej z kułactwem dobija się nowych form gospodarki i kultury.

Ale dajmy spokój satyrykom, a przejdźmy do kułaków. Oto oni: Jest w powiecie grójeckim gromada Kozietuły Stare. Jest sołtys gromady Rutka. Jest także Gminna Rada Narodowa. Są oczywiście i chłopi, wśród których — wielu małorolnych. I jest 16 żniwiarek, które należą, rzecz jasna, do miejscowych kułaków.

W Kozietułach odbywają się — podobnie jak w całym kraju — żniwa. A skoro są żniwa, to — powinna tu funkcjonować i pomoc sąsiedzka. Bo oprócz 16 kułaków, których opatrzność (jak twierdzą oni) i wyzysk (jak twierdzi biedota) zaopatrzyły w konie i żniwiarki, dalej oprócz średniaków, posiadających już tylko same konie i to właściwie nie wiadomo jakim cudem — jest tu jeszcze sporo małorolnych. Tych już opatrzność nie raczyła jakoś wyposażyć nawet w konie. SOM-y z braku odpowiedniej ilości sprzętu nie wszystkim chłopom mogą zapewnić pomoc maszynową.

Tymczasem, pomimo istnienia wszystkich elementów, niezbędnych dla wprowadzenia w życie dekretu o pomocy sąsiedzkiej, t.j. istnienia potrzebujących pomocy i mogących ją dać — kułacy w Kozietułach Starych gospodarują sobie nadal po staremu. Wypożyczają maszyny „za odrobek". Wbrew dekretom rządowym. Wbrew interesom biedoty wiejskiej. A najpikantniejszym szczególikiem w całej tej sprawie jest to, że poczciwy sołtys Rutka uporczywie twierdzi, iż w Kozietułach kułacy pomagają biedocie „sami z siebie", z „dobrej woli". Tak, jak to czynili już oddawna. Jeszcze za czasów wojny rosyjsko-japońskiej, wywołanej przez „dobrodusznego" batiuszkę cara Mikołaja II.

Gdyby satyryków nie zadowolił powyższy temat, pozwolę sobie wskazać im inny. Oto w czasie przygotowań do żniw w roku pańskim 1951 do PRN w Kutnie GRN z Rdułowa nadsyła sprawozdanie, w którym całkiem urzędowo i poważnie donosi, że „obywatele tamtejszej gminy, niejacy Stelmachowski, Kazimierczyk i Machina, **utrudniają** pomoc sąsiedzką, nie chcąc za nią **odrabiać**". Tu można by postawić kropkę, gdyby nie fakt, że PRN w Kutnie do lipca b.r. nie miała żadnych zastrzeżeń do cytowanego sprawozdania. Jak jest obecnie — stwierdzam lojalnie — nie wiem.

Wyciągnięcie wniosków i konsekwencji pozostawiam PRN w Kutnie, a także — satyrykom.

Tadeusz Słupecki

JERZY SMUTNY

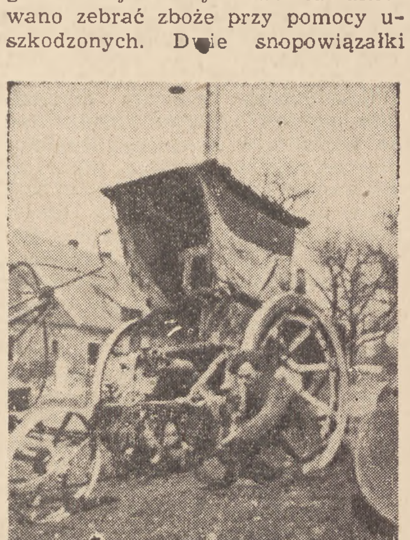
Jaki POM — taki plon

W środkowej części województwa kieleckiego, wzdłuż rzeki Kamiennej, wędruje z ust do ust nowe przysłowie: Jaki POM — taki plon. Przysłowie to zawdzięcza swe istnienie dobrej sławie POM-u 114 z Daniszowa. Jest też istotnie za co chwalić daniszowski ośrodek. Zżęli zręczni chłopcy zboża, wykonali podorywki pod poplony w trzech spółdzielniach produkcyjnych — jak to się powiada — migiem. Zahuczały z kolei ich maszyny na małych poletkach drobno i średniorolnych chłopów. Obrobić tysiąc indywidualnych gospodarstw w terminie to prawdziwy sukces!

Nie chodzi nam jednak o podkreślenie faktu starannego przygotowania maszyn do pracy, czy niezwykłej sprawności w toku robót żniwnych. Każdy POM przede wszystkim planuje, a dostosowanie planu do istotnych potrzeb i warunków obsługiwanego rejonu rozstrzyga o przebiegu żniw i omłotów. Lecz plan nie może być sztywny. Jeżeli np. w gminie Lipsko zaczyna już sypać się zboże — trzeba jechać tam natychmiast z maszynami, choćby plan przewidywał, że nastąpić to powinno w innej gminie. Tak właśnie dostosowywali swój plan pomowcy z Daniszowa, zyskując sobie powszechne uznanie chłopów.

Piszemy te słowa w nadziei, że zawstydzą one kierownictwo POM-u 144 w Kleszczelach. Tam od początku źle się działo. Maszyny przygotowano do pracy, lecz na... papierze Tymczasem sprawozdaniem, choćby jeszcze piękniejszym niż Kleszczelskie — zboża nie zbierzesz. W przedżniwnej deklaracji załogi aż się roiło od słów: wykonamy, przyrzekamy, zmobilizujemy, ale któż to wykona sprawnie żniwa przy pomocy samych tylko deklaracji? Nie potrafiła tego nawet załoga POM-u 144.

Rzeczywistość przeszła marzenia największych pesymistów. Dyrektor Simonienko trudnił się w okresie żniw reperacją uszkodzonych snopowiązałek, a kierownik Wydziału Politycznego wyjechał sobie na wczasy. W Dudylach stała bezczynnie sprawna snopowiązałka, podczas gdy w Daszach, Wólce Wygonowskiej i innych wsiach usiłowano zebrać zboże przy pomocy uszkodzonych. Dwie snopowiązałki



porosły mchem ponieważ Dyrekcja sprowadziła nieodpowiednie do nich traktory Kilka innych snopowiązałek miotało się bez planu od wsi do wsi, a załoga daremnie usiłowała sprostać potrzebom.

Załoga POM-u 114 odegrała na swoim terenie decydującą rolę w bitwie o chleb. Odegrała ją i w walce klasowej. Jeżeli chłopi z rejonu Daniszowic korzystali z państwowych maszyn to równocześnie zrezygnowali z kułackich. Rzecz nie bagatelna dla sytuacji klasowej. Kułakowi odebrano przedmiot wyzysku — najmującego się chłopa. Daniszowiacy podcięli więc korzenie wyzysku. A Kleszczelacy? Ci nolens volens je pielęgnowali, dzięki bumelanctwu mechaników, porzuceniu najodpowiedzialniejszego stanowiska przez kierownika Wydziału Politycznego, dzięki brakowi jakiegokolwiek planu pracy.

Bieżącą sytuację na wsi zwykło się krótko określać jako epokę POM-ów. Ośrodek 144 tej epoce zaszczytu — jak dotąd nie przyniósł. Mamy wszakże nadzieję, że się poprawi już przy orkach i siewach jesiennych.

Jerzy Smutny

BARBARA MATEUSZOWA

Z chłopa — robotnik

Pragniemy w tej nocie zwrócić uwagę na sprawę, która od dłuższego już czasu absorbuje uwagę korespondentów prasy robotniczo-chłopskiej. Chodzi nam mianowicie o robotników pracujących w rozmaitych instytucjach na terenie wsi.

Czytelnicy „Chłopskiej Drogi" z dnia 5.VIII. 51 r. nie bez zdumienia zapoznali się z perypetiami robotników sezonowych z nadleśnictwa Dziczy-Las (gm. Swobodnica, powiat Gryfice). Ludzie ci, przeważnie drobnorolni, lub bezrolni chłopi czekali dobrych kilka miesięcy na otrzymanie wypłaty. Okazuje się, że praca idzie tam szybko, często jednak bywa gorzej z procedurą otrzymania zapłaty.

O podobnym wypadku donosi nasz korespondent z gminy Jastrzębie, pow. Lipno — Seweryn Skulski.

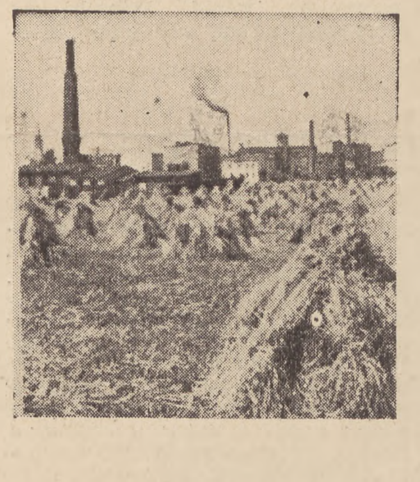
Sprawa nie jest błaha. To nie tylko bezmyślność jakiegoś gminnego biurokraty, ale przejaw walki klasowej.

Co roku bowiem odpływa do zawodów pozarolniczych kilkaset tysięcy ludzi ze wsi. Dla wielu z nich pierwszą formą związania się z przemysłem jest praca w charakterze niewykwalifikowaengo, sezonowego robotnika. Dopiero później w toku pracy zdobywają oni kwalifikacje zawodowe i wiążą się już na stałe z przemysłem.

Dlatego też obojętność w przestrzeganiu terminów wypłat, stwierdzona w tych na szczęście nielicznych wypadkach stanowi ważny problem. Wrogowi klasowemu zależy bowiem na zahamowaniu procesu przechodzenia chłopstwa pracującego do szeregów klasy robotniczej.

Korespondenci prasy robotniczo-chłopskiej czynią dobrze, zwracając często uwagę na nadużycia i bezprawie, dokonywane przez wroga przy przesuwaniu się chłopstwa na pozycje klasy robotniczej.

Barbara Mateuszowa



AGNIESZKA WOJTASZ

Pan prezes urzęduje

Zebranie wyborcze gminnej spółdzielni w Kropicy (woj. szczecińskie) dobiegało szczytowego punktu. Z trybuny ustąpił dwudziesty-ósmy i ostatni już z dyskutantów, aby na zakończenie swych długich wywodów stwierdzić tradycyjnie, że „on i wszyscy zebrani na sali kroczą szybkim marszem do socjalizmu". Wtedy, po odczekaniu przepisowych oklasków, znad stołu prezydialnego uniosło się z wyrazem ważności i urzędowej powagi czerwone oblicze przewodniczącego Kocurka. Przez chwilę grzebał nerwowo w teczce ze świńskiej skóry, wyrzucając na stół masę pomiętych papierków, po czym głęboko odetchnął, kiedy znalazł wreszcie niewielką karteczkę.

Na sali zaległa cisza, umilkły szepty, chłopi z przejęciem wpatrywali się w czerwone oblicze przewodniczącego, który po oficjalnym odchrząknięciu oświadczył:

— Właśnie do prezydium wpłynęła z sali lista obywateli, proponowanych na członków zarządu spółdzielni. Są to koledzy: Juryś, Gałecki i Macoszka...

Chłopi poruszyli się niespokojnie. Dwóch z proponowanych znali, natomiast nazwisko kol. Macoszki słyszeli po raz pierwszy. Jeden ze śmielszych nie wytrzymał i podniósł wysoko rękę.

— W kwestii formalnej — powiedział — ale kto to jest ten trzeci, którego proponujecie? Bo tu, w naszych stronach nikt go nie zna...

Przewodniczący Kocurek posmutniał, zrobił wiele niepotrzebnych gestów rękoma, z opresji wybawił go przedstawiciel PZGS-u, który zawczasu podniósł się z miejsca. Tak wspaniałego przemówienia chłopi w Kropicy dawno już nie słyszeli. Przy okazji dowiedzieli się, że aczkolwiek prawdą jest, że kandydat w tych stronach jest nieznany, to lepszej kandydatury być nie może, zarówno pod względem ofiarności w pracy i oddania sprawie Polski Ludowej, jak i pod względem fachowego, handlowego przygotowania i doświadczenia, przyjemnej powierzchowności, łagodnego charakteru, skromnych wymagań, dużej wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu, wyjątkowej miłości dla chłopów właśnie z tej okolicy, której aczkolwiek nie zna, ale do której zawsze czuł, czuje i będzie czuł szczególne przywiązanie. I sumując, gadatliwy mówca stwierdził z entuzjazmem:

— Co tu dużo się rozwodzić, moi kochani, to jest właśnie wasz nowy prezes...

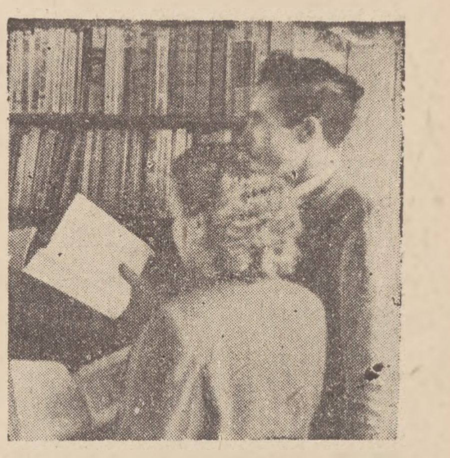
Nie dając chłopom ani chwili wytchnienia, zza stołu prezydialnego wystrzeliło znowu w górę czerwone oblicze przewodniczącego Kocurka.

— Podajemy proponowaną listę pod głosowanie — oświadczył z emfazą. — Kto jest przeciwny? — Nikt. Kto jest za? — Nikt. Kto się wstrzymał? Nikt. Wobec tego lista kandydatów na członków zarządu spółdzielni, która w p ł y n ę ł a z s a l i do prezydium została przyjęta! Zamykam zebranie!

Przedstawiciel PZGS-u zamyka swoją teczkę z brązowej skóry, przewodniczący Kocurek ze skóry świńskiej, po czym się rozchodzą... Nawet im przez myśl nie przejdzie, że są gwałcicielami statutu spółdzielni, że swoim komenderowaniem doprowadzili do wypaczenia wyborów, zniechęcając i odpychając chłopów od spółdzielni; że w następstwie wszystkiego wytworzyli atmosferę, która sprzyja szerzeniu się wrogiej działalności kułackiej, podważającej autorytet spółdzielni. Oto do jakich rezultatów doprowadza nieliczenie się z opinią członków spółdzielni, prawowitych jej gospodarzy, pomiatanie ich zdaniem i traktowanie wyborów jako jeszcze jednej akcji potrzebnej dla sporządzenia sprawozdania i statystyki, których domaga się nadrzędna instancja spółdzielcza.

P.S. Zdarzenie najzupełniej autentyczne.

Agnieszka Wojtasz



A. KOWOL MARCINEK

O pomoc dla czytelnika

NIEDAWNO odbyła się w Lesznie Wlkp. odprawa robocza kierowników bibliotek gminnych z trzech sąsiednich powiatów, na której ciekawy referat na temat co dają bibliotekarzowi czasopisma biblioteczne i jak winien z nich korzystać wygłosił kierownik Gminnej Biblioteki Publicznej w Święciechowie, ob. Konieczna. Z referatu wynikało, że czasopisma biblioteczne: „Poradnik Bibliotekarza" (miesięcznik), „Nowe Książki" (miesięcznik, czysto bibliograficzny) oraz „Bibliotekarz" (dwumiesięcznik), wraz z „poradnikiem", wydawane przez Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich, są wielce pomocne bibliotekarzowi w jego pracy, w jego walce — o nowego czytelnika. W dyskusji na ten temiast stwierdzono, że pomoc tych czasopism jest niewątpliwie dużą, lecz byłaby jeszcze większą gdyby:

1. czasopisma te regularnie i na czas przychodziły do bibliotek. Tymczasem przychodzą jak chcą, a w rezultacie zamieszczone w nich artykuły tracą na aktualności.

2. „Poradnik Bibliotekarza", to pismo o bardzo skromnych rozmiarach, z wyglądu mało efektowne, nikogo, poza bibliotekarzem nie zachęci do nabycia go i przejrzenia. Zamieszczony materiał nie jest wystarczający, nie wyczerpuje zagadnienia bibliotek i czytelnictwa, gdyż na dłuższe artykuły nie ma miejsca.

Nieco lepiej prezentuje się czasopismo „Bibliotekarz" (dwumiesięcznik). Przede wszystkim jest większego formatu i obszerniejszy. Ale za to dociera do bibliotek z jeszcze większym opóźnieniem. Od 1 stycznia do 1 lipca 1951 r. nadszedł do bibliotek tylko jeden numer (styczeń—luty).

3. Artykuły tak w „Poradniku" jak w „Bibliotekarzu" są zbyt jednostronne, mówiące jak założyć, prowadzić, urządzić itp. Są więc formalne i dotyczą głównie szczegółów technicznych. Mało w nich jest natomiast powiązania z praktyką; z terenem. Mało tu rzeczywistych informacji o faktycznym stanie bibliotek i czytelnictwa — na jakie trudności bibliotekarze napotykają w swej pracy? Jakie są przyczyny hamujące właściwy rozwój bibliotek i czytelnictwa? Kto to są ci bibliotekarze gminni, powiatowi, punktowi (kierownicy punktów bibliotecznych — gromadzkich)? Jakie są ich warunki pracy, życia? Na te pytania chciałoby się znaleźć odpowiedź w prasie bibliotekarskiej. A tu jak na złość dają nam do zrozumienia, że firanki w bibliotece „zrobią" czytelnika.

Pisma bibliotekarskie powinny ponadto walczyć o autorytet bibliotek wiejskich, o pełne rozumienie ich społeczno - wychowawczych funkcji.

A tymczasem?... Oto w miasteczku Radzyna, pow. Leszno z poborów dla kierownika Miejskiej Biblioteki Publicznej opłaca się częściowo sprzątaczkę lokali Prezydium. W miejscowości Krzywin Biblioteka Miejska posiada tylko jedną szafę i to tak ciasną, iż niesposób jest bibliokaterzowi w niej pomieścić książek. Część księgozbioru trzyma więc w paczkach. A oto w powiecie gostyńskim sekretarz GRN, gdy w lokalu Gminnej Biblioteki znajduje się większa ilość czytelników, odwołuje akurat bibliotekarkę do innej pracy, nie pozwalając jej obsłużyć przybyłych czytelników.

Na ogół trzeba powiedzieć, że zainteresowanie, współpraca i pomoc ze strony miarodajnych czynników terenowych, oświatowych, organizacji dla bibliotek i bibliotekarzy jest wszędzie jeszcze nikła, niewystarczająca, albo w ogóle jej nie ma. — Bibliotekę uważa się za „piąte koło...", a bibliotekarza za kogoś, co darmo pobiera wynagrodzenie.

Toteż unważam, że w tej chwili zachodzi potrzeba wydawania — okazalszego, w większym formacie, ilustrowanego — czasopisma, poświęconego sprawom bibliotek i czytelnictwa. Pismo wzięłoby na siebie przede wszystkim ogromny trud walki o należyte funkcjonowanie i rozwój bibliotek. Byłoby nie tylko poradnikiem, ale i reprezentantem (tysięcy bibliotek i milionów tomów), obrońcą, bojownikiem o wielkie sprawy biblioteczne i czytelnictwa, przeznaczonym nie tylko dla bibliotekarzy, lecz i dla czytelników. Wydawanie takiego pisma staje się tym bardziej konieczne, jeżeli wziąć pod uwagę liczne, coraz liczniejsze zadania bibliotek publicznych.

Ośmielam się wysnuć projekt, by takie czasopismo stworzyć — z połączenia „Poradnika Bibliotekarza" z „Bibliotekarzem", a jako dodatek bibliograficzny dodać „Nowe Książki".

A. Kowol - Marcinek
Bibliotekarz gminny

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul Wiejska Nr. 12, tel. 40180—90
Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7,
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-85 Tel. Redakcji 751 80 wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3—zł.; kwartalnie 9 zł.; półrocznie 18—zł.; rocznie 36—zł.;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO. Warszawa I — 6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-38385